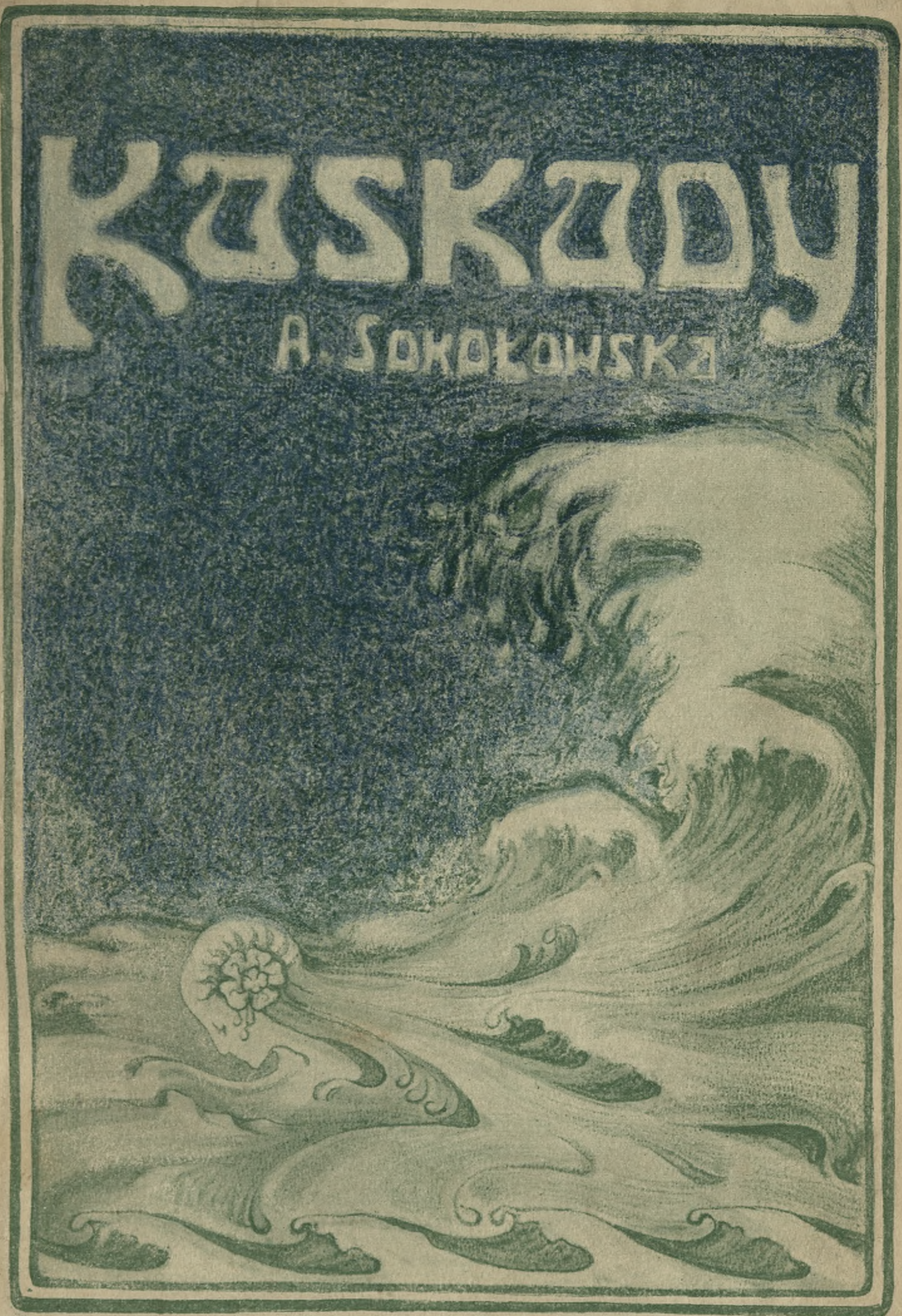

KASKADY
A. SOKOŁOWSKA

ANNA SOKOŁOWSKA.

KASKADY.

LUGANO. — NOC NA MORZU.
DZIEŃ ZWYCIĘSTWA.
SYMFONJA WIOSNY.—ZORZA DNI NOWYCH.
ZA PIEŚNIĄ ZAPOMNIANĄ.
TATRY.—NA GERLACHU.—SEN NOCY LIPCOWEJ.
BIALI RYCERZE.
PRZEZ ŻYCIE.—SREBRNE PUCHY.

WARSZAWA, 1911.
Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka
T. Hiż i A. Turkuł.

Czcionkami Drukarni Naukowej, Warszawa, Hoża 64.

LUGANO.

Błogosławiony stokroć ów dzień pełen słońca,
w którym ciebie, o jasny mój! ujrzałam drżąca.

Błogosławione stokroć owe dobre bogi,
które stopy twe wiodły w me samotne progi.

Błogosławiona cisza i czar owych godzin,
w których miłość święciła tryumfy urodzin.

Błogosławiony płomień ów i żar serdeczny,
który nam dusze spoił na bieg czasu wieczny.

Błogosławione pieśni owych dzwonów mocnych,
które głos twój kołysał w cichych głębiach nocnych.

Błogosławione światło owej błoni złotej,
na której mego szczęścia rozbiłeś namioty.

I błogosławion trud ów, cierń, kamień i głogi,
przebytej przy twym boku, bezpowrotnej drogi.

. . . .

Jak łódź usłana jaśminowym puchem,
co z mórz otwartych sinego obszaru
za prądem wichru i za mew łańcuchem
płynie do brzegu —
tak, błękitami sennych wyobrażeń,
spłynęła do mnie cicha, pełna czaru,
godzina marzeń.

O daj mi przeżyć w błękitach dzień jeden —
dzień jasny – z dni mych wytrącon szeregu!
Na piersi twojej daj mi prześnić Eden
niezamąconej rozkoszy...
Chcę życiu
wykraść dzień szczęścia—szczęścia takiej mocy,
o jakiej marzą w obłocznem powiciu
gwiazdy, płynące śród majowej nocy.
. . . .

I chcę iść z tobą w jakiś kraj niebieski,
gdzie wszystkie snów mych uśmiechnięte twarze,
po przez obłoczne jawiąc się witraże,
rozkwitną tobie, jak kościelne freski.
W jakiś kraj nowy, a ogromnie cichy —
gdzie światła, jako liliowe kielichy,
płoną najczystszą bóstwa tajemnicą
i spowijają się w srebrzyste gazy;
gdzie każdy promień błękitną źrenicą
pieści uśpione po winnicach głazy;

gdzie między nami, a ludźmi wyrosną
góry, zamknięte oktawą radosną —
wielkie, a ciche... światłookie straże
o linjach bardzo miękkich — jak ołtarze,
u których prorok, pieśniami wielbiony,
głodnym miłości i głodnym wesela,
sakramentalną komunję udziela.
— W kraj tak błękitny i taki skupiony,
jak srebrna muszla nad taflą oszklonej
blaskami wody.
                    Tam, oddana tobie,
gorącym żarem rozświecę kaganiec
miłości mojej i mej pieśni tony
rozsnuję tobie, jak święty różaniec.
Tam nieuwiędłym liściem przyozdobię
zmęczone czoło twoje. Tam upłynie
mojej rozkoszy sen. Tam, uśmiechniona,
twym ustom podam o zmierzchu godzinie
najsłodszych winnic purpurowe grona.

Tam wspomnień bólu mojego pozbędę
z duszy bez śladu... bez śladu... Tam będę
twoją — ach, tylko twoją! jak promienie
twych jasnych oczu...

. . . .

Los ziścił marzenie.
W krainie wodnej, błękitnej i cichej,
jak srebrna muszla — gdzie przedświt kielichy
zórz otwierając, wyśnionych nie płoszy
zjaw — obudziłam się na dzień rozkoszy.
. . . .

PORANEK.

Słyszę chór elfów:
— Na stoki,
na stoki lećmy alpejskie!
różowić białe opoki
i wizje snuć elizejskie!
Na złote zamki i gaje,
które nam słońce otworzy—
O chwała słońcu, co wstaje!
i chwała zorzy!—

— Elfy! o ciszej, o proszę,
nie budźcie echa!
choć się na wasze rozkosze
dusza uśmiecha.
Śpiewajcie hymny swe wieszcze
w najcichszych tonach!
Mój ukochany śpi jeszcze
w moich ramionach.
Z snu go nie budźcie! Błaganiem
drżą usta moje,
chociaż się waszem śpiewaniem
tak słodko poję.

Do was marzenia me biegą
mostami tęczy —
lecz miłość moja u jego
wezgłowia klęczy.

I skrzyżowawszy gorące
na piersiach dłonie,
wstrzymuje tętna bijące
i oddech w łonie.–

— Twa miłość wstanie radosna
i pójdzie z nami,
gdzie płoną szczyty... gdzie wiosna...
hej — nad głębiami!
Pójdzie rwać róże, jaśminy
i bzy liljowe;
stroić się w jasne rubiny
i w perły nowe;
chłonąć rozkosze i szały,
od gór bijące,
by niemi słów jej wezbrały
fale gorące. —

— O elfy śpiewne! o duchy
słonecznowłose!
niebiańskie dajcie mi puchy,
niebiańską rosę
na wargi, drżące kochaniem,
jak łuski fal po jeziorze —
wtedy mych ust całowaniem
powieki jego otworzę.

Mój miły oczy ma senne
od godzin trudu.
Czy wasze barwy promienne
dokażą cudu?

Czy zleją w jego źrenice
dosyć upojeń,
by zatrzeć im tajemnicę
sennych urojeń?

Mój miły stopy o ciernie
poranił srodze,
gdy szedł wytrwale i wiernie
po zmudnej drodze:
Czy słać będziecie mu wonne
kwiaty pod nogi?
Czyli mu róże koronne
zaścielą drogi?

Mój miły duszę ma jasną,
jak złote berła —
Czy tam, gdzie śniegi nie gasną,
gdzie lód, jak perła
przeczysta, w zorzy niebieskiej
płonie i taje,
czy płaszcz mu dacie królewski
i gronostaje?

Mój miły czoło ma dumne
i myśl słoneczną —
Hymny zagracież mu szumne?
czy pieśń serdeczną?
A kiedy przyjdzie godzina
weselnych godów,
jakie podacie mu wina
z waszych ogrodów?

O elfy! Nie wiedzą żadne
człowiecze serca, ni duchy;
nie wiedzą orły gromadne,
ni chmur obłocznych łańcuchy,
które wichrowy lot płoszy;
ni żadne bóstwo nie czuje,
jakiej pożądam rozkoszy
dla oczu, które miłuję! —

. . . .

Chór elfów, skupion u okien ramy,
wysłuchał pieśni mojej miłosnej,
a potem, lecąc w Alpejskie bramy,
wszczął hymn radosny:

— Lećmy! Jak zorza lećmy skrzydlata
budować w Alpach słoneczne grody!
Bo oto miłość, władczyni świata,
zamawia gody.

— Lećmy różowić białe opoki;
szafirem prószyć na drzewa gaju.
Lećmy nadziemskie tworzyć uroki;
rozkosze raju. —

Lecą, uniesień pełne i szału!
i widzę w szczytach ich chyże prace:
płomienne baszty... wieże z kryształu...
zamki, pałace...

Na przepotężnych, srebrnych filarach
kaskad szumiących wzrastają gmachy
skąpane w łunach i w słońca żarach
po same dachy.

Miast okien wielkie płoną djamenty,
jak oczy Boga na złotym chramie.
W ich łonie świtu promień zamknięty
tęczą się łamie.

Na dachach krągłe, olbrzymie baszty
z perłowej konchy, z jasnych opali
goreją w słońcu, jak wielkie maszty
na modrej fali.

A oto wicher drze tajemnicę
ostatnich, w górze spiętych muślinów
i oto widzę smukłe dzwonnice,
całe z rubinów.

Na szczyty dzwonnic — szczyty świetlane
anieli wchodzą przedziwnym lotem.
I biją dzwony mocne, odlane
słonecznem złotem.

I lecą stamtąd w szerokich wirach
róże i kwiaty na gaje śpiewne,
gdzie w przenajczystszych płoną szafirach
korony drzewne.

I lecą róże wonne na drogi;
jedwabnym puchem okryły głazy.
A elfy chyże kładą na progi
marmur bez skazy.

A potem ścielą uliczne bruki
w bogaty dywan — w szkarłat królewski
i tryumfalne wieszają łuki
z tęczy niebieskiej.

I skrzętnie znoszą ze swych ogrodów
soczyste grona, owoc rumiany;
zlewając zdroje najsłodszych miodów
w olbrzymie dzbany.

Godowe sale przybrały w łunę
różowej zorzy, jak w długie szarfy.
I rozśpiewały swe złotostrune,
przedziwne harfy.

O upojeniach dusz, co czystemi
ustami morza miłości chłoną,
śpiewają harfy niebu i ziemi
pieśń uniesioną!

. . . .

Kochany — zbudź się! Jak złota czasza
rozkoszy płoną jeziorne wody!
Spojrzyj na Alpy — tam miłość nasza
zamawia gody.

Niech sen twój szarą pryśnie kropelką
w otchłaniach światła, w cudnym błękicie.
O jakże piękną, o jakże wielką
rozkoszą życie!

BARCAROLLA.

Plusnęły radośnie zwycięskie me wiosła,
poczęły rytmiczny swój tan.
Błękitna nas fala uniosła... uniosła...
na srebro kryształów i pian.

Plusnęły me wiosła i wparły się dumnie
w nurt wody, bijącej o łódź.
A fale, wzbierając poszumnie... poszumnie...
wołają: „Hej, wiosła twe rzuć!"

Położę me wiosła; upoję się ciszą;
w Alpejski zapatrzę się pion.
Niech srebrne mię fale kołyszą... kołyszą...
niech w piersi me biją, jak dzwon!

Na strunach serdecznych spoczęła pogodnie
dłoń szczęścia i pręży je w dal.
Pieśń moja rozkwita łagodnie... łagodnie...
rytmami pieszczących się fal:

. . . .

—Twa miłość jest jak otchłań morza,
po której płynie moja łódź.
Twa miłość jest jak sen, w przestworza
idący barwne tęcze snuć.

Twa miłość jest jak białe wiosła,
co przecinają kręgi fal.
Twa miłość jest jak toń, co zniosła
na sobie smutek mój i żal.

Twa miłość jest jak wioseł dwoje,
co w harmonijny biją ton —
Twa miłość jest jak szczęście moje —
z wysokiej białej wieży dzwon.

Twa miłość jest jak pieśń żeglarzy —
radosna, ufna i bez skarg —
Twa miłość jest jak szept, co marzy
u całowanych we śnie warg.

Twa miłość jest jak wschodnia zorza,
idąca czarne mroki pruć —
Twa miłość jest jak otchłań morza,
po której płynie moja łódź.

. . . .

Podniosły się fale i długie swe hymny
rzuciły donioślej w pierś skalnych łańcuchów.
O czoło uderzył wiew nowy i zimny,
jak oddech jawiących się duchów.

Otwarłam źrenice i widzę go. Biały
duch ciszy na jezior szumiącej powodzi,
jak rycerz archanioł w zbroicy wspaniałej,
przystanął u steru mej łodzi.

Poczwórne swe skrzydła—olbrzymie... olbrzymie...
rozwinął... Ach piękny! Podobny marzeniu.
Nie pytam, skąd przyszedł — nie pytam o imię,
lecz słucham go w cichem milczeniu.

—„Przychodzę po łup mój! Zwyciężę... zwyciężę..!
poczwórne me skrzydła rozwiałem.
Podniosę otchłanie — żywioły sprzysiężę —
ogarnę, upoję cię szałem!

Otwieraj źrenice. Niech przestrzeń oczami
ssie duszę twą. Nie drżyj. Alp ciche kolosy,
w twym śnie rozkochane, są tobie stróżami;
pościelą — rozwarte niebiosy.

Podnosi się fala, jak dobrych bóstw ręka,
i rozkosz się wzdyma, jak kłąb oceanu.
Pierś twoja tak ciasna... Niech pęka! Niech pęka!
Duch leci, jak rozdzwon peanu!

Co z życiem czyniłaś? Rozlane błękity...
toń światła, jak czara upojeń i radość.
Co z życiem czyniłaś? Za tobą mrok lity...
więzienia... i cienie..., i bladość.

Otwieraj źrenice. Niech przestrzeń ssie duszę.
Nie lękaj się! Łuska mej zbroi połyska.
Azali powrócisz w te ciemnie i głusze?
w pieczary i grząskie bagniska?

Azali, wchłonąwszy w twą pierś oceany,
powrócisz w zamknięcia murowań?
Azali zadławią sklepione twe ściany
najsłodszych ci hymn umiłowań?

Patrz — Orja w tęczowe obleka się łuny,
jak baśń o zaklętych zamczyskach —
Na San Salvatore, jak raju zwiastuny,
unoszą się elfy w wirowych koliskach.

Po łup mój przychodzę. Zwyciężę — zwyciężę!
Poczwórne me skrzydła rozwiałem!
Podniosę otchłanie — żywioły naprężę —
ogarnę, upoję cię szałem! — "

Drętwieję i słucham. — Przesłodka męczarnia!
Uciszcie się fale! niech szum wasz nie płoszy
słów jego — Ach słucham! a duszę ogarnia
paroksyzm śmiertelnej rozkoszy.

. . . .

—„Kochany! nie chwytaj tych wioseł rzuconych—
tak piękny jest łodzi mej taniec!
A wody fontanna swych pereł toczonych
najsłodszy mi szepce różaniec.

Tym pieśniom i czarom nie wrócić! nie wrócić!
Ta fala tak cudna i złota!
Czyż z falą pieszczącą będziemy się kłócić
o chwile ziemskiego żywota?

O nie bierz tych wioseł! Niech pląsa—niech pląsa
łódź moja falami pieszczona.
Niech żywioł ją modry całuje i kąsa —
niech wicher ją bierze w ramiona!

Skroń moją przyciśnij do piersi twej drogiej,
twe usta mi podaj do warg!
Duszami stopieni pójdziemy w sen błogi,
bez słowa... bez lęku... bez skarg.

Pójdziemy w zaświaty śnić dalej i głosić
tę pieśń nad pieśniami — pieśń naszej miłości!
W tej chwili przedziwnej rozkoszy jest dosyć
na całe okresy wieczności!

O nie bierz tych wioseł! Ten świat tak uroczny
Pozostać, pozostać w nim muszę!
Uderzył w niebiosa dzwon bożej wyroczni —
Ta przestrzeń wyssała mi duszę!

Patrz — Orja w tęczowe obleka się łuny,
jak baśń o zaklętych zamczyskach!
Na San Salvatore, jak raju zwiastuny,
unoszą się elfy w wirowych koliskach!

Rozwalmy piersiami tajemnic podwoje!
Patrz — Wicher — tajemnic tych poseł!
Na ustach błagalnych złóż usta mi twoje
i nie bierz... o nie bierz tych wioseł!“

. . . .

Nie słuchasz mej prośby. Wpatrzyłeś się w skały,
gdzie łódź naszą czeka rozbicie.
I wiosła chwytając, stanowczy i śmiały,
krzyknąłeś: „Powiodę cię w życie!

Pieśń twoja duchowi szaleństwem swem bluźni!
żegnajmy jeziorne pałace.
Przed nami młot ciężki — czerwony żar kuźni —
i walki — i bóle — i prace!“

Potężnem ramieniem drzesz wichry i fale,
ujarzmiasz topielcze potwory.
I przeciw losowi unosisz zuchwale
łódź moją. — Jam pełna pokory.

NOCTURN.

Położyła się cisza skrzydłami —
Alp umarłych zaległa posłanie.
Srebrne stoki i wody lubieżne
zamieniła w sen...
Lampy nadbrzeżne
świetlistymi, długimi wężami
zanurzają się w czarne otchłanie.

Legła cisza i noc srebrnowłosa
rozpiętemi w bezmiary skrzydłami.
Pochyliły się czarne niebiosa —
Oto cisi jesteśmy i sami.

Z niebios czarnych, przez wyżyn framugi
snują gwiazdy swe sny bez wysłowień —
i w milczeniu ślą jedna po drugiej
w otchłań jezior uśmiechy pozdrowień.

A z otchłani, pół-sennych fal rugiem,
ciche czółna wpływają jak zjawy —
i w milczeniu mkną jedno po drugiem
ku przełęczy dalekiej i mgławej.

A z przełęczy, szpalerem drzew długim,
wchodzą sylfy na ciemne murawy —
i w milczeniu gną jeden po drugim
ciche ciała u stóp naszej ławy.

Długie skrzydła na barkach pokładły
w nieruchomej, łagodnej drętwocie;
i pierścieniem wokoło nas siadły,
wielkie oczy podnosząc w tęsknocie.

Świecą w cieniu ich ócz karbunkuły,
jak jeziora wąwozów i dolin.
Dreszcz ich ramion, jak listek przeczuły;
na ich rękach sto dzwonnych mandolin.

Jest w ich oczach tłumiony żar ciemnic...
urok morza... sen gór... i czar leśny.
W srebrnym nimbie skupionych tajemnic
dzwonią strun ich pobrzęki i pieśni.

. . . .

— Dzwońcie struny na ciszę... na jar...
na jeziora zwierciadło uroczne...
na mgły sine... na łuny obłoczne...
Srebrna nocy — przesłodki twój czar!

Dzwońcie struny... uderzcie w ów ton
pożegnany — a żalem — a wiecznie...
Rozpłakały się struny serdecznie...
srebrna nocy — pochylaj twój skłon!

Srebrna nocy — zamykaj twój cień!
Krwią zachodu pożegnan jest dzień.
Łzami rosy pożegnan jest zmierzch.

I pożegnan jest wicher nadbrzeżny.
I pożegnan jest cichy i śnieżny
Alp dziewiczych bielący się wierzch.

Pożegnana u turni olbrzymiej
orlich lotów potęga i straż.
Pożegnana hymnami szumnymi
słońca w fale patrząca się twarz.

Pożegnane są dzwony kościelne,
uniesione na wiry topielne.
Pożegnane jaskółcze gromady;
wodnych dziewic korowód i gwar.
Pożegnane są śmiechu kaskady;
echonośne łoskoty i war.

Pożegnana jest słońca twarz złota
i kolory, mieniące się w dal.
Pozostała na cichem dnie fal
ponad wszystko najsłodsza tęsknota,
ponad wszystko najsłodszy ten żal.

Dzwońcie struny na ciszę... na jar...
na mgły, w niebie wijące się mlecznie —
Rozpłakały się struny serdecznie —
Srebrna nocy — przesłodki twój czar! —
. . . .

Dzwonią struny płaczących mandolin
w rękach sylfów, a oczy ich szkliste,
jak jeziora wąwozów i dolin,
patrzą w przestrzeń — ogromne... świetliste.

Nasza ława nad brzegiem jeziora
stoi w cichej, otwartej samotni.
Dusza w puchach tej nocy wilgotnej,
jak dziecina układa się chora.

Czuję jeszcze opory mych wioseł,
taniec łodzi i fal kołysanie.
Umęczonam, a ból, nieprzerwanie,
jak rozkoszy nawiedza mię poseł.

Ból faluje po moich ramionach,
jak nieśmiałe suwanie się pragnień.
Alp kontury w cienistych osłonach
kreślą tysiąc załamów i zagnień.

Dusza moja, jak linje Alpejskie,
załamuje się w pragnień tysiące —
Sylfy grają — Przez sny elizejskie
wiodą duszę ich struny brzęczące:

— Dzwońcie struny na serca — na krew!
Miodne krużę otworzy wasz zew!
W czarnych głębiach całują się fale.
Z różą w liściach paprotni śni krzew.
Tajemniczą, łagodną pieszczotą
drzewa drzewom zwierzają swe żale —

Dusza wzbiera ogromną tęsknotą...
Dzwońcie struny — słyszany wasz zew!

Dzwońcie struny na biały rój mar,
przez niebiosa snujący się mlecznie —
Rozpłakały się struny serdecznie...
Srebrna nocy — przesłodki twój czar!

Rozpłakała się dusza dziecięca —
wszystkie moce stopiła we łkaniu.
Rozpłakała się w cichem czekaniu;
złote struny zerwała u harf.

Komu róże odrywać od wieńca
purpurowych płomieni i barw?...
Komu podać obrzękłe te grona,
których ciężar zawisnął u warg?...
Komu białe zarzucić ramiona?
Komu włosy rozwinąć u bark?

Komu zwierzyć gorące łoskoty
krwi, u serca wezbranej, jak war?
Komu zwierzyć najsłodsze tęsknoty?
Srebrna nocy — przedziwny twój czar!

Dzwońcie struny swą pieśń nad pieśniami!
Dzwońcie miłość — i rozkosz — i żar...
Niech upoją się usta ustami —
Srebrna nocy — przesłodki twój czar!
. . . .

Dzwonią struny swą pieśń nad pieśniami.
Dusza pręży się... Strun owych brzęki
przenikają raz po raz iskrami
pierś... ramiona... serce...
Pełna męki
i rozkoszy czuję w upojeniu,
żem jest cała tęsknotą, jak struna,
co sylfowych strun cichemu drżeniu
odpowiada.
Na alpejską skałę
tu przedemną weszła jasna łuna —
księżycowy obłok.
Tęsknię. Zwolna
wyciągają się ręce nieśmiałe...
Dusza moja, jako mara polna,
obłąkała się... szuka schronienia.

Ukochany — wydarłeś rozbiciu
łódkę moją. Z otchłani marzenia
wzgardzonemu wróciłeś mię życiu,
w kuźnię myśli czerwoną i w łany,
pełne płodnych wysiłków i mąk.
Powróciłeś mię życiu... Kochany!
ja to życie chcę pić z twoich rąk.

Podaj dłonie. Noc taka wiosenna!
— Moja miłość jest jak leśna brzoza,
pełna dreszczu i łez — sturamienna,
a wichrami miotana i gięta.

W cieniu własnych stóp dla mnie jest groza
obłąkanych wśród nocy majaczeń.
Twoje dłonie są jak czara święta,
z której piję uroki przeznaczeń.

W twe ramiona weź... Ciszej — o ciszej!
Moja miłość jest taka zalękła!
Moja miłość jest jak fala bujna,
którą przestrach w mej piersi kołysze.
Moja miłość jest jako łódź czujna,
której w brzegu kotwica rozpękła;
która cofa się w nurty...ucieka...
wszystkim wichrom powierza swe żagle —
i w błękitną się falę obleka —
i w topielczy wir nurza się nagle.

Moja miłość jest jak ptak na ręku,
pełna lotu — i błagań — i lęku.
Spojrzeniami twojemi zaklęta
i prosząca o łaskę przebaczeń...

Twoje dłonie są jak czara święta,
z której piję uroki przeznaczeń.

NOC NA MORZU.

1.

Z okrętu mego patrzę w morze,
a dusza śni...
Letargi fal
swą ciemną, gładką, lśniącą stal
unoszą hen... w przestworze.

Zepchnięty z portu nasz parowiec
toczy swój ciężki kształt wielbłądzi.
Za nim, jak runo białych owiec,
miesięczne światło zcicha błądzi.

Z okrętu mego patrzę w dal,
a dusza śni... a noc pogodna.
— I oto z łona czarnych fal
rozkwita nagle lilja wodna;
olbrzymia — kształtem swym otwarta,
jak srebrna czara, zwolna parta
nurtami wód.
W jej białem łonie
tajone światło cicho płonie.
Tajony ognik, nieznan światu,
w jej się jedwabnych puchach czai.
I płynie tak korona kwiatu,
jak czółno — fali nurt porusza;
a fala śni, jak moja dusza —
i wszystkie sny swe gwiazdom tai.

Przez owe sny, sny letargiczne
pomyka w dal liljowa barka.
Smukła, ubrana w biel żeglarka
kołysze wiosła dwa rytmiczne.

— „Żeglarko biała—do mnie! do mnie!
czaruje mię twa cicha łódź!
Bezbrzeżne morza tak ogromnie
rozlały w dal
tęsknotę fal...
Żeglarko, do mnie wiosła zwróć!

Zjawiła się twa łódź na morzu,
jak biały uśmiech nocy;
jak jasny pierścień, na bezdrożu
rzucon z anielskiej procy.

Żeglarko — tu, w ten czarny nurt!
Kołysze się twej łodzi burt.
Uderza w piersi nieprzytomnie
serdeczny dzwon... Hej do mnie! do mnie!

Twej lilji czara, nad kielichy
gwiazd słodsza, lśni na wód posowach.
Zbliż się! usłyszę szept twój cichy —
odpowiem w cichszych jeszcze słowach."

— „Nachyl się ku mnie. Czyliś sama?
czy tylko sama na pokładzie? — "

— „Tak — ach, tak! Za mną czarna plama.
To cień mój. Błądzim tak oboje.
On za mną liczy kroki moje;
to staje przy mnie — to się kładzie
u nóg, jak dobre, ciche zwierzę.
Zresztą nikt. W pustce tej wilgotnej
samotnam ja — mój cień samotny.
On milczy — ja głos duszy pręż꧝
w tęsknocie...“
— Czy odeszli ludzie?—“

— „Tak — spłoszył ich wieczorny wiew.
Do snu ich zwołał nocy zew.
Po dziennym gwarze, dziennym trudzie
odeszli wszyscy. Słów ostatek
stłumiły ciche fal poszumy. —“

— „Czy śpią?“
— „Tak — śpią wśród swoich klatek.
Kołysze ich cichemi dłońmi
anioł spoczynku i zadumy.
Oszołomieni czarem nocy,
urokiem gwiazd i morza tońmi,
śnią w odrętwieniu i niemocy
o cieple opuszczonych gniazd“.

— „A port?“
— „Utonął. Długi sznur
patrzących ku nam, jasnych źrenic
zatopił nagle w morską głuszę.

Utonął. W gwiazd anielski chór,
jak w ręce białych oblubienic,
oddał promienną swoją duszę.

Przyleciał do nas z wichru tchem
ostatni oddech jego płuc.
A potem bardzo cicho dzwony
poczęły iść z dalekiej strony
po nieskończonem morzu tem,
by głuchy pomruk nocy zmódz.
A potem jeszcze ciszej fale,
ukołysane pieśnią śliczną,
swoje poszumne, długie *vale*
rzuciły w przestrzeń letargiczną.“

— „Nachyl się ku mnie—bliżej... bliżej,
aby mój szept doleciał ucha.
Zejdź w moją barkę! Bieg jej chyży
uniesie nas... Czy nikt nie słucha?“

— „Nie — nikt.“ —
— „Jest wyspa wonna, biała
w nieznanej ci mistycznej dali.
Popłyniem do niej.“ —
— „Skąd powstała?
i jak?“
— „Miłości upojeniem
zrodził ją księżyc w łonie fali.“

— „Jakie jej imię?“ —

— „Nazwiesz sama:
rozkoszą... ciszą... zapomnieniem...
nazwiesz ją sama.“
— „Jakie bruki
wskażą nam drogę? Jaka brama
powiedzie do niej?”
— „Gwiezdne łuki
i fal uśpionych srebrny szlak.“

— „Czy są tam kwiaty?“
— „Z fali cichej
przedziwnie wonne swe kielichy
raz po raz prężą, wpół omdlałe
rozkoszą, wielkie kalje białe.“

— „Czy buja tam na skrzydłach ptak?“

— „Białych żórawi brodzi w srebrze
cały, kolisto długi sznur.
U stóp ich senna fala żebrze
łagodnych muśnięć jasnych piór.“

— „Czy na pogodnym niebios skłonie
rysują się tam kształty drzew?“

— „U brzegu wielkie, smukłe palmy
zawodzą szeptem długie psalmy.
Listowia ich, jak ciche dłonie,
kołysze wolno morski wiew;
a ile razy mocniej trąca,

prześwieca przez nie blask miesiąca
i łzy radosne na nich jawi.
I stoją tak w tych łez koronie,
wznosząc tysięczne, ciche dłonie,
a każda dłoń ich błogosławi.
I stoją tak nad senną wodą
w nimbie miesięcznych, sennych barw."

— „Czyli tam znajdę rękę młodą,
co mi zadzwoni w struny harf?"

— „Duchy przedziwne, lekkie, wiewne
w nieustający wir unoszą
nad morzem ciała swe astralne;
a na ich piersiach cytry śpiewne.
Na cytrach ręce niewidzialne
grają z zachwytem i rozkoszą,
ekstazy pełne, pieśni mszalne".

— „Czy są tam bóstwa?"

— „Słodkie, białe,
w girlandach gwiazd, w uśmiechach całe.
Twarze ich, jasną mgłą spowite
świecą, jak księżyc, utajony
w łunie obłocznej. Ich osłony,
ich szaty cudne, srebrnolite;
a w fałdach szat bogate dary.
Djamenty czyste i topazy
rzucą na cień twej sukni szarej.

U szyi twej zawieszą zcicha
brylant ogromny i bez skazy.
Z ich dłoni białej, jak z kielicha,
spłyną na pierś twą pereł deszcze."

— „A potem?"
— „Wezmą ręce twoje,
powiodą tam, gdzie bujne zdroje
od pereł owych bielsze jeszcze
rozlewa w jasny krąg cysterna.

W świątynię cichą, gdzie niezmierna
błogość rozszerza serca brzegi.
Gdzie gorejących oczu biegi
do wszystkich dusz znajdują wrota.
Gdzie moc jakowaś i tęsknota,
jak nieskończony, długi sznur,
od serca rzuca się szalona
w olbrzymi ludzkich istnień chór
i obejmuje kręgiem śmiałym.
Gdzie wiara kładzie się w ramiona,
jak małe dziecię w ciszy snów.
Gdzie usta pieści skrzydłem białym
przesłodki gołąb dobrych słów.

Powiodą cię w świątynię ową.
Blaskiem klejnotów twych okryta,
wejdziesz tam panią i królową.
Cysterna szeptem cię powita,
a brzegi jej alabastrowe
wabić cię będą.

Klękniesz przy niej —
pochylisz nisko... nisko głowę
i pić z niej będziesz czar świątyni.

Lecz słuchaj. Jeśli chcesz w niezmiernej
potędze bogactw twych powrócić —
nie chciej pragnieniu wodze rzucić —
nie pij za wiele u cysterny."

— „Słuchać cię będę — słuchać zawsze!
Błogosławiona bądź, żeglarko!
Któż cię przywołał?"
— „Dziwna moc.
Płynę tak jasną moją barką
w każdą miesięczną, cichą noc
i badam serca te najkrwawsze,
na których łańcuch życia cięży;
których się struna ku mnie pręży,
by ze mną białe wizje snuć.

Zbliżam się ku nim utajona —
zapraszam je na moją łódź.
Otwieram wioseł mych ramiona
i w snach rozkoszy cichej... biernej...
unoszę je na brzeg cysterny.

II.

Owiała usta moje
falami upojnemi
liljowej czary woń.
Ustami się mojemi
dotykać kwiatu boję,
by snu nie strącić w toń.

I patrzę w gwiazd kielichy,
a pierś nieśmiało chłonie
upajający czar.
Unosi mię kwiat cichy
na śnieżno-białem łonie
w krainę śnionych mar.

Milcząca przy mnie stoi
ubrana w biel żeglarka,
kołysząc wiosła w takt.
A płynnie wonna barka,
a miesiąc srebrem stroi
ten cudny, morski trakt.

O zamilcz mi wołanie
minionych lat żywota —
o nie bij w łodzi burt!
Niech w duszy pozostanie
tylko tych mórz tęsknota,
tylko tej fali nurt.

Nie drżyjcie mi powieki!
Zamilczcie moje wargi!
O serce, nie bij tak!
Bo echa głos daleki
przerywa wód letargi,
jak niepokoju ptak.

Modli się dusza we mnie
o ciszę cisz — tajemnie
zaklina mię bez tchu!
Niech żaden ruch nie płoszy
prężącej się rozkoszy —
widnego w dali snu!

Bo oto w wschodniej stronie,
na ciemnym nieboskłonie
przedziwny widzę blask!
I widzę ślad wybrzeża,
a woń mi wieści świeża
cysternę pełną łask.

Marzone widzę brzegi,
a na nich dwa szeregi
wysmukłych, cichych palm,
co w srebrnej łez koronie
szepcą, podnosząc dłonie,
błogosławiący psalm.

Widzę brodzących w srebrze,
pod cichem drzew szeptaniem,

żórawi białych sznur —
a fala u nich żebrze
ich nóg ucałowaniem
muśnięcia jasnych piór.

Widzę ich giętkie szyje,
świetliście kołysane
w uroczo smukły kształt,
co mieni się i wije
i muska srebrną pianę
i w wodny wchodzi fałd.

Migocą nad głębiną
te szyje, tajemnicę
łowiące sennych mórz —
jak białe błyskawice,
co nieprzerwanie płyną
po ciemnem niebie wzdłuż.

A oto idą do mnie,
kołysząc lekkie głowy,
wysmukłe kalje w rząd.
Stęsknione — tak ogromnie
do lilji, swej królowej,
biegną na wodny prąd.

W ich śnieżno-białem łonie
ukryty szmaragd płonie,
jako dziewiczy sen.

Wysmukłe ich puharki
do mej liljowej barki
rzucają szmaragd ten.

Na ręce moje wchodzą
łagodnem powitaniem
i prężą się do ust.
Po włosach moich brodzą
i w czoło biją wianiem
swych śnieżno-białych chust.

I oto widzę duchy
tak lekkie, tak powiewne,
że srebrnej łuski fałd
unosi ciał ich puchy.
Ich dłonie modlitewne
trzymają cytry kształt.

Drżą ciała ich astralne
w obłoku jasnych łunach,
jak kołysany dzwon.
A ręce niewidzialne
grają na boskich strunach
w ekstazy pełen ton.

— „Rozlewaj pieśni
twój czar tajony —
słuchają morza i niebios skłon!
Rozkołysz pieśni
twe wszystkie dzwony —
słuchają morza — i słucha On!

Którego ręka
z otchłani strąca
otchłanie światów w niezmienny ruch.
Przed którym klęka,
we łzach miesiąca
ze skaz oczyszczon, człowieczy duch.

Którego łożem
tych łun mgławice.
Który przestworzem
gna tajemnicę.
Którego tchnieniem
czerwone słońca!
Któremu śnieniem
światłość miesiąca.

Któremu wieczna
rozkosz żywiołem.
Któremu mleczna
droga nad czołem
przyświeca nocą
w otchłanne kręgi.
Którego mocą
rzucone wstęgi
tęsknot olbrzymie
na ziemi płoność!
Którego imię
jest nieskończoność!

. . . .

Bądź pozdrowiona
duszo niesiona
liljową barką ku naszym snom!
Skądkolwiek płyniesz,
w rozkoszy zwiniesz
opony żagli, niosące prom.

Pozdrawiaj pieśni
w wyrazy nowe
jej ciche kroki, gdy zejdzie z fal.
Ukołysz pieśni
jej senną głowę —
na strunach rozwlecz jej łzawy żal.

Otwórzcie gwiazdy
swe białe czary
i lejcie słodycz w jej serca kruż.
Z dalekiej jazdy
mistyczne dary
rzucajcie ku niej na fale mórz.

Podnieście palmy
dłonie tysięczne
i błogosławcie jej biały sen.
Szeptane psalmy
i łzy miesięczne
rzucajcie w ciszę i w urok ten.

Żórawie białe,
jej myśli całe
unieście z sobą w przejasną dal.

Niech lot wasz wije
faliste szyje
nad cichą, senną otchłanią fal!

. . . .

A gdy do portu skierujesz łódź,
nadbrzeżnym bóstwom kotwicę rzuć!
A gdy powstrzymasz czółenka bieg
a kiedy wejdziesz na srebrny brzeg,
najsłodsze światło w twe oczy bierz —
najsłodszym pieśniom twą duszę zwierz.

A kiedy, w blasku miesięcznych łun,
upoisz serce tonami strun,
najczystszą rozkosz zaczerpnąć idź —
najczystszą rozkosz u źródeł pić.

. . . .

Bądź pozdrowiona
duszo niesiona
liljową barką ku naszym snom!
Skądkolwiek płyniesz
w rozkoszy zwiniesz
opony żagli, niosące prom."

. . . .

Zeszłam z mej łodzi.
Bóstwa białe,
w girlandach gwiazd, w uśmiechach całe
podają ku mnie swe ramiona.

Oplotły mię rozkoszy dreszczem;
miłośnie tulą mie do łona.
Całym olbrzymich pereł deszczem,
całą klejnotów swych kaskadą
rzucają na mnie.
Otom strojna,
jak pani można, jak królowa.

U czoła gwiazda opalowa,
jak lilje czysta i spokojna.
Na włosach moich ciężki djadem
brylantów czarnych, w których gore
moc, wskrzeszająca dusze chore.
Świecą nad czołem mojem bladem,
jako błyskawic stu korona.

Perły olbrzymie, jak orzechy,
objęły wkoło me ramiona.
Na piersiach djament, co uśmiechy
mórz rozświetlonych wkoło rzuca
i wielki, piękny, a bez skazy
rozkoszą tchnie, jak mórz tych płuca.

Krągłe, związane w sznur topazy,
w których się urok wiosny chowa,
u szyi mojej ręka hojna
bóstw zawiesiła.
Otom strojna
jak pani można, jak królowa.

A szata ma jak puch gołębi
i nie masz na mej szacie plam!
Więc iść mi tak w ów boży chram,
gdzie archanielska czuwa warta.

Świątynia owa nie ma bram.
Jej kształt — olbrzymia i otwarta
koncha perłowa, w której głębi
mistyczna płonie tajemnica.
A w blasku stu mistycznych lamp
cysterna święta zwolna kłębi,
w alabastrowej rzeźbie ramp,
swą toń głęboką, jak źrenica
nieskończoności.
Klękam przy niej,
na brzegi jej alabastrowe
oszołomioną kładę głowę
i piję chciwie czar świątyni.

— Och, nie oderwę moich warg!
pragnienie było tak szalone!
O nie podniosę zgiętych bark,
me usta są nienasycone!
Im więcej piję — pragnę mocniej.
Szał mię ogarnia! pić... ach, pić!
Nim pryśnie czar godziny nocnej —
nim jutrznia przerwie srebrną nić
kołyszącego mię marzenia —
Ach pić...
Na ustach spazm omdlenia.

Bezwładna padam u cysterny —
Bezwładna szczęściem — drżąca szałem
radości cichej, a niezmiernej.

Słodycz wezbrała w piersi mojej
ogromną falą — morzem całem.
Rozpiera serce!...
Dusza roi...

O czemuż niema w moich dłoniach
przeźroczystego szkłem puharu,
w któryby z piersi mej bezmiaru
miód ten się sączył — miód o woniach
białego kwiatu lipy polnej.

Którybym niosła w świat daleki,
gdzie tłum oślepion i niewolny,
gdzie ludzie pragną; gdzie powieki
są jako w ogniu szmat podarty;
gdzie oko każde, próżne żaru,
jako szczelina świeci pusta.
Czemuż nie mogę w pierś puharu
łać miód mej piersi i w otwarty
świat niosąc, poić wszystkie usta.

Gdzież wy jesteście? wy spragnieni,
którym usycha krtań opiekła!
którym wśród gruzów i kamieni
ostatnia zdroju łza wyciekła
z pękniętej czary.
Gdzież jesteście?

Oto was wołam głosem duszy!
Radosne do mnie ręce wznieście.
Chcę rzeźwić suche wasze wargi —
Chcę w odrętwieniu nocnej głuszy
obudzić waszych serc letargi.

Czemu w mych rękach niema kwiatów,
które rzucałabym na głowy,
jak noc rozrzuca białych światów
po niebie czarnem deszcz liljowy.

„Bóstwa! jam strojna, jak królowa;
lecz gdzież są dary dla mych braci?
dla sióstr..? ach, czyliż żadna nowa
dań ich z mej ręki nie wzbogaci?

Dla tylu ludzi, których słowa
złotemi w sercu płoną runy;
których uśmiechy brałam w duszę,
jak wschodzącego słońca łuny;
których bez miar miłować muszę
za tyle wspomnień...“

Bóstwa białe
z uśmiechem wznoszą skrzyni wieko.
Patrzę — i oczy me nieśmiałe
łzami zachodzą pod powieką.
Widzę przed sobą skarby całe,
pełne tajemnic:

Kielich wielki,
co sącząc miody, nie wysącza
nigdy ostatniej swej kropelki.
Kwiat jedwabisty, co u kłącza,
zamiast ros, dźwiga morskich sreber
roziskrzające się blachmany;
mistyczne szczęścia talizmany.
Świecznik, co u kolistych żeber
jarzy się światłem niezgaszonym.
Lampa, co oczom zachwyconym
rysuje cudnych mar widziadła.
Muszle, świecące nocą mlecznie,
pełne pieszczących słów i wiecznie
uśmiechające się zwierciadła.

Paź jasnowłosy, w sukni szarej
unosi za mną hojne dary.

Jakżem szczęśliwa!
Gdyby oni,
ci ukochani, tam za progiem
świątyni mej błogosławionej
czekali na mnie...
Widzę cienie
ludzi błądzących wzdłuż wybrzeża.
Pieszczą ich białych gwiazd promienie
i pieści woń ogrodów świeża.
Lecz milczą palmy i pod nogi
nie kładą im się kalje białe.

Grzbiety ich zgięte i nieśmiałe.
Poznaję ich — to moje wrogi.

Ten ma na rękach świeże ślady
krwi — wczoraj jeszcze darł mi serce!
Ten, nienawiści żądzą blady,
stawił na drodze mej mordercę.
Ten, widząc dłoń mą skaleczoną,
do ran ogniste wsączał jady.
Ten garścią błota, w twarz rzuconą,
obryzgał oczy i oślepił.
Ten głazy rzucał mi pod nogi
i łańcuchami ręce zczepił.
Poznaję ich — to moje wrogi!

Jakżem szczęśliwa! Pierś ma głuszy
łoskotem serca szept ich błogi.

O pozdrowieni bądźcie z duszy!
Jakżem szczęśliwa — jakże wdzięczna
bóstwom, co do mnie was przywiodły.
Jakże pragnęłam w owym czarze,
który rozlewa noc miesięczna,
do was serdeczne wznosić modły
o serca wasze! Jakżem dumna,
że w szczęściu widzę wasze twarze!
O pozdrowieni bądźcie! — Dłonie
wasze uścisnąć pragnę dłońmi.

Niech was powita fala szumna
najsrebrniejszemi swemi tońmi!
O pozdrowieni...
Gdyby w łonie
waszem, miast serca, zimne głazy
ciężyły, jeszcze żar mej duszy
stopi je w ogniu tysiąc razy,
miłością zimny głaz poruszy.

Podajcie dłonie. Krew serdeczną,
krew moją własną zetrę sama
włosami memi. Szatą mleczną
oczyszczę ręce wasze z błota,
którem bryzgaliście mi w oczy.
I nie zostanie żadna plama —
i żadna, żadna łez zgryzota
waszych pogodnych dusz nie stoczy.

Czystemi dłońmi bierzcie dary.
Niosę je dla was. Te puhary
niewysączonych nigdy miodów;
te kwiaty — białe sny ogrodów,
w których jest szczęścia moc zaklęta;
świecznik, co wieczne światło jarzy
u nieśmiertelnych bóstw ołtarzy;
rozpłomieniona lampa święta,
co kreśli cudnych mar widziadła;
szemrzące muszle i zwierciadła...
Bierzcie. Jam dumna, jam szczęśliwa,
że dla was tyle darów niosę.

Rzucam je ku wam, jak ogniwa
miłości, którą srebrnowłose
gwiazdy, lecące po niebiosach,
niosą na długich swoich kosach;
o której szumne fale prawią
i którą palmy błogosławią.

III.

— „Żeglarko biała — czemu
tak szybko teraz leci
liljowa barka twa?
Czyli ją blask djademu,
co u mych włosów świeci,
w ramiona nocy gna?

Czy ją tak wielką żądzą
przyciąga nasz parowiec,
zarysowany w mgle?
Czy wichry morzem błądzą?
Żeglarko biała — powiedz,
lub wstrzymaj wiosła twe! — “

— „Me wiosła równo biją
posłuszne, ciche karki
ukołysanych fal.
I wichry równo wiją
u mej liljowej barki
swe lotne kłęby w dal. —“

— „O gdyby jeszcze drobny,
drobniuchny ślad wybrzeża
zobaczyć tam u fal!

Płakaniu harf podobny
ton w duszę mą uderza!
Żeglarko — jak mi żal...“

— „Czego? Czy owych czarów,
zabranych dobrym bogom
u przeźroczystych wód?
Owych bogatych darów,
które złożyłaś wrogom,
a których czujesz głód?“

— „Żeglarko — żal mi tylko,
że dałam im tak mało!
Cóż znaczy puhar... kwiat...?
Czyż można jedną chwilką
zasłonić przeszłość całą,
stłumić rozlany jad?

Czyliż ich serca wzruszy,
choćby najlżejszem drganiem,
kielichów, muszel dar?
By pustą głębię duszy
napełnić miłowaniem —
jakich że trzeba czar!

Żeglarko — żal mi bardzo...
i słyszę ciche jęki
w szeptaniu srebrnych wód...“

— „Ha — słuchaj! oni gardzą
darami twojej ręki
i próżnym był twój trud.

Twe muszle, lampy, czary
zmienili w zendrę marną,
druzgocąc stopą w pył.
Zwierciadła i puhary,
rzucone w otchłań czarną,
prąd morza w głębiach skrył.“

— „Rzucili dary w morze?
Żeglarko, wstrzymaj wiosła —
niech zdejmę djadem mój!
Niech perły moje złożę,
by je twa łódź uniosła
tam, gdzie ów święty zdrój.

Gdzie owa wyspa błoga,
a na niej dusze — głazy.
Weź pereł moich sznur.
Weź djament — uśmiech Boga.
Weź krągłe me topazy
jasne, jak gwiazdek chór.

Weź wszystko! —
Oto już na deski
okrętu wchodzę. Świt niebieski
wiesza nad łożem mórz opony
lekkich, przeźroczych swych namiotów.
O weź! nie trzeba mi klejnotów.
Oddaj je ludziom u wybrzeża
krainy twej błogosławionej,
którym nienawiść serca toczy.

Moich brylantów czar uderza
z taką olbrzymią siłą w oczy.
Blask ich, prujący puklerz nocny,
taki wezbrany, tak wszechmocny,
przeniknie stal — przetopi głazy!
Weź opal, perły i topazy —
oddaj im.
Serce me szczęśliwe,
że im te dary posłać mogę".

Żeglarka oczy swe niezmiernej
miłości pełne, dobrotliwe
podniosła ku mnie, szepcąc zcicha:
— „Za wiele piłaś u cysterny."

I na powrotną weszła drogę.

. . . .

Zwolna odpływa cudna zjawa
żeglarki białej i kielicha
świetlistej, wielkiej lilji wodnej.
Zwolna je chłonie czeluść mgława
nocy miesięcznej i pogodnej.
Zwolna je fal zbudzonych dreszcze
podają falom.
Widzę jeszcze
wysmukły, biały cień żeglarki
i kołysane jej ramiona
i na dwóch wiosłach wsparte dłonie.
A w głębi jej liljowej barki
mój brylantowy djadem płonie,

jako błyskawic stu korona;
i świeci gwiazda opalowa,
jak lilje czysta i bez skazy;
i świecą krągłe me topazy,
w których się urok wiosny chowa.

Zwolna je biały kształt kielicha
na grzbiety fal płynących kładzie...
zwolna je fale w przestwór noszą...
— A ja, nędzarka, na pokładzie
okrętu mego, klęcząc zcicha,
drętwieję szczęściem i rozkoszą.

DZIEŃ ZWYCIĘSTWA.

Marzyłam: Wiosną, nad biegiem fali,
w miejscu, gdzie leżą brzóz młodych cienie,
zbuduję chatę z sosnowych bali,
chatę najprostszą. Ciche schronienie
dla mojej harfy umiłowanej
i dla mnie.
Białe będą jej ściany
i dach wysoki ze snopów żyta.
I będzie cała w liściach brzozowych,
gdy skwar na piaskach zagore płowych.
I będzie cała słońcem okryta,
gdy wicher zmiecie listowia drzewne.

I u jej progu siędę o zmierzchu —
a oddech ciszy, płynąc po wierzchu
rozgrzanej fali, swe tony śpiewne
będzie kładł wolno na strunach harfy;
aż usną ptaki w nadbrzeżnych stoczach,
a zorza, schodząc, po brzóz warkoczach
swoje różowe rozepnie szarfy.

Wówczas, nim w niebie miesiąc złotolic
swoją żeglugę rozpocznie błogą,
ku chacie mojej szeroką drogą
będą szli ludzie z wszystkich okolic:
mieszkańcy lasów i grot podziemnych;
mieszkańcy sklepień o twarzach ciemnych
i zgiętych barkach. Ludzie idący

od białych młynów, od soch i pługów,
od roli czarnej, mgłami dymiącej,
pełni na czole siwizn i rugów,
pełni krwawiących na ręku znamion.
Będą szli do mnie drogą szeroką
i powitają uściskiem ramion.

I rozweseli się wszelkie oko,
gdy me sosnowe zasiędą ławy.
Więc im chleb czarny podam i nabiał.
Każdego spytam, jakie wyprawy
przedsiębrał we dnie, jakie odrabiał
prace na roli, w lesie, w pieczarze...
I zwołam dzieci gromady bose,
jak ptaki śpiewne i jasnowłose.

A, gdy weselem rozkwitną twarze,
snuć się nam będą jakoweś baśnie,
jakoweś gędźby cudne i piosnki,
że dusza szczęściem omdlona zaśnie
przy dźwiękach harfy.

Z najbliższej wioski
dwunastu cieśli zwołałam starych.
I rozpoczęła się mojej chaty
budowa chyża.

Ze sosen szarych,
którym odjęto wiosenne szaty,
stanęły ściany proste i wonne,
wonne żywicznym miodem zagajów.

Szerokie okna i drzwi przestronne,
zdały się gości z najdalszych krajów
prosić uprzejmie; a dach, zszywany
ze snopów złotych, jak ranna gwiazda,
zdawał się tylko czekać bociany,
by na nim wiły swe duże gniazda.

Więc serce moje biło jak dzwony,
gdym wonne ławy pod brzóz warkocze
stawiała w szereg długi... ściśniony.

Marzenia moje... sny me urocze,
które dziś w ciemnej dali migocą —
sny me... daremne —

. . . .

Oto nocą
na dach mój padła skra czerwona.
Stanęły w ogniu białe ściany!
stanęła w ogniu strzecha złota,
ze snopów żytnich dach zszywany,
weselna dłoni mych robota.

Stanęła w ogniu wymarzona
przezemnie chata, jak pochodnia
iskrami wkoło buchająca.
I nie wiem dotąd jaka zbrodnia —
szyderstwo, niechęć, czy niszcząca
zawiść rzuciła skrę pożarną
na dach mój nowy... Wiem to jedno,
żem, biegnąc w nocy otchłań czarną,

zbawiła tylko harfę biedną
i życie moje.
Stała w oczach
płomienna chata moja. Belki
świetliste, piękne, pełne grozy
padały zwolna. Po warkoczach
brzóz, na wikliny, krze i łozy
biegł żar, jakoby krwi kropelki.
A wicher, płacząc... dziwnym szałem
pędzony po przez rzeczne nurty,
rzucał się w ogień ciężkiem ciałem,
jak fala rzuca się na burty
tonącej łodzi.
Z każdym rzutem
owego cielska wichrowego,
po lustrze fal, wirami prutem,
biegły czerwone skry, jak biegą
posły zniszczenia, mąk i grozy.
Biegły skry duże po warkoczach
brzóz mych, więc biedne owe brzozy
drętwe i nieme w nocnych mroczach,
słuchały wichru, jako dzwonu,
który im wieścił chwilę zgonu.

I rankiem białym, gdy źrenicą
świtu zbudzone, szepty dziwne
wkradły się w brzeżne oczerety,
nad czarną, głuchą tajemnicą
zgliszcz i popiołów stały sztywne
i martwe moich brzóz szkielety.

I rzekłam wtedy: Na zgliszczach mej chaty
zbuduję mocny dom z czerwonej cegły.
Bzu liljowego ozdobią go szaty,
a blachy sine będą dachu strzegły
od wszelkich, nowych iskier nienawiści.
Wonne akacje poszeptami liści
przypomną duszy brzóz umarłych pieśni.
I zlecą na nie zewsząd ptacy leśni,
aby wtórować mojej harfy strunom.

Z okien otwartych, przez bzy i powoje,
radować będą się źrenice moje
uśmiechom zorzy — pierwszym dnia zwiastunom.
Na dachu mocnym, niedostępnym zdradzie,
sznur się gołębi o świcie pokładzie.
Kwiatów słodyczą wezbrane kielichy
będą swe łona otwierały pszczołom.
A dobre słońce, w dzień skwarny i cichy,
strącając chyżo ku leśnym rozdołom
wilgotne chłody rannego opadu,
całować będzie owoc mego sadu.

Przed domem ganek o słupach rzeźbionych,
oplecion winem i z rzędami ławek.
Tam czekać będę zewsząd upragnionych
gości, a patrząc na różowy skrawek
niebios, o zmierzchu snuć będę marzenia.

I zejdą do mnie ludzie piękni, młodzi,
w światłości oczu, w czystości odzienia.
Ludzie spragnieni różanej powodzi,
którą blask słońca widnokrąg otula;
spragnieni wichru, co nad rzeką hula,
i szeptu liści i jasnego biegu
fali, pieszczącej się z falą siostrzaną.
Ludzie wędrowni, z dalekiego brzegu
niesieni barką tęsknoty co rano
ku innym brzegom.
Zniosę pełne kosze
owoców — krasne moich drzewin dary,
w które słonecznych pocałowań żary
zaszczepią wszystkie niebieskie rozkosze.
Zniosę ze sklepień słodkie, wonne miody —
dar pszczół i kwiatów, któremi ogrody
mojego domu śmiać się będą światu.

Zastawię suto długie, białe stoły.
Więc pieśń radosna — więc rozgwar wesoły
powtórzą stokroć wschodzącemu latu,
powtórzą stokroć tym falom, płynącym
do mórz otwartych sinego ogromu,
powtórzą stokroć ludziom niewierzącym,
że szczęście mieszka w progach mego domu.
. . . .

Zwołałam silnych i młodych mularzy,
którym chęć czynu z ogorzałych twarzy
i z oczu jasnych biła.

I bez zwłoki
zawrzała domu mojego budowa.
Stanął ścian moich czworobok wysoki,
wsparła się na nim błyszcząca posowa
mojego dachu.

Rękami drżącemi
od szczęścia, klęcząc na wilgotnej ziemi,
sadziłam wonne bzy, siałam powoje
i zakładałam drzew młodych aleje,
marząc, że wiosna je pierwsza odzieje,
w kwiat biały.

Dzwonem biło serce moje
ku snom... daremnym.

. . . .

Oto wiosną
wezbrały nagle wody rzeczne.
Hucząc fanfarę swą rozgłośną,
padły na domu ściany mleczne
i rozerwały wszystkie węzły
fundamentowych moich sklepień.
W piwnicach mętnem szkłem ugrzęzły
i w szale wściekłych swych zaślepień
podmyły dom mój, jako sosnę,
co, rozkochana w modrym biegu
fali, na stromym siada brzegu.

. . . .

I dom mój w gruzach legł —
Ogromna
tęsknota, z wszelkich łez wyżęta,
objęła duszę — i bezdomna
stanęła harfa moja święta.

Wówczas podniosłam głowę i nagłem spojrzeniem
po łożu wód zwycięskich powiodłam zuchwale.
I zdało mi się wówczas, że mocniej, niż fale,
czyn mej ręki pobiegnie za duszy marzeniem.

Rzekłam: Z krajów dalekich, gdzie są ludzie rośli,
zwołam trzystu posłusznych mej woli mocarzy.
Przyjdą—pokładą w miejscu nadbrzeżnych zarośli
tamy, których się fala przerwać nie odważy!

I na gruzach budowy, którą dzikie szały
nawałnic rozpętanych zmiotły z łona ziemi —
powstanie pałac piękny, marmurowy, biały,
rozmiłowany w słońcu kolumnami swemi.

Będą w nim wielkie, złote komnaty i sale
o ścianach rozszeptanych rytmami wahadeł.
Z okien światło grać będzie w przeczystym krysz-
[tale
lamp, świeczników, puharów i dużych zwierciadeł.

Będą w nim ciche, mrokiem zalane kaplice
o melodjach płynących, jak woń trybularzy.
A blask ostrołukowych, wysokich witraży
ku nawom zlewać będzie swych barw tajemnice.

Będą w dziedzińcu srebrem bijące fontanny
rozplatać dniem i nocą długi warkocz szklanny.

A wijące się wkoło, rzeźbione krużganki
wiosna przystroi w róży Jerychońskiej wianki.

W ogrodach mych, dyszących wonią orchidei,
winnice zwieszać będą swoje złote grona.
A kolumny tarasu w swe giętkie ramiona
obejmie bluszcz uniesion, jak symbol nadziei.

I bluszcz ten po filarów białym kapitelu
pnąc się, dosięgnie szczytu, gdzie słońce łaskawe
złocić będzie co rano w promiennem weselu
olbrzymiemi głoskami ryty wyraz: Ave!

Na marmurowe stopnie mojego pałacu
wejdą królowie mocni i książęta biali.
Kwietny kobierzec każę rozciągnąć na placu,
gdzie fontanna swe włosy srebrzyste krysztali.

I przy tonach mej harfy, z jej płaczem zmięszanych,
w upajającej woni kwiatów rozesłanych,
ustawię długim rzędem kielichy i czary,
lejąc w nie winnic moich szumiące nektary.

. . . .

W marzeniach mojej duszy była władza cudu.
Oto na głos mój zeszli pracownicy nowi —
synowie nieznanego mi dziwnego ludu
o potężnych ramionach.
Stanęli gotowi
do pracy nad brzegami rozhulanej rzeki.

Pamiętam, że się wtedy wszystkie fale sparły
w dreszczu śmiertelnej trwogi i w świat... w świat
[daleki
jęły uchodzić szybko, jak uchodzą karły
przed stopami olbrzymów.
Długie, ciężkie tramy
i zaciśnięte stosy kamieni ogromnych
utworzyły prądowi niezwalczone tamy.
A potem stanął gmach mój—jeden z wiekopomnych
gmachów owych, co patrząc na wodne obszary,
rozkochują w swej bieli wszystkie słońca żary.

I rosły w moich oczach mocne, piękne mury,
przeźroczyste oknami o gzymsach szerokich.
Pięły się kolumn jasnych toczone marmury,
uwieńczone rzeźbami na czołach wysokich.

Dźwigały się w mych oczach wkoło głównej sali
boczne skrzydła, mieniące się barwą opali,
po których, jako lekkie festony i wianki,
wiły się uniesione na słupach krużganki.

Strzelały w moich oczach wysmukłe wieżyce,
co, biegnąc ku niebiosom, linjami swojemi,
zamykały przed światem mistyczne kaplice.
Rósł pałac mój, jak biała pieśń o szczęściu ziemi.
. . . .

Lecz, czy pieśni tej białej, jak świtu godzina,
ziemia, łzami karmiona, pragnęła zaprzeczyć;

czy to, uporem zemsty zdjęta, fala sina
w głębiach swych nie przestała snom moim zło-
[rzeczyć —
nie wiem...
Wszczęła się burza niszcząca i dzika.
Łono ziemi zadrżało, jak w godzinie sądu!
Padły gromy i żywioł wszechmocnego prądu,
który wnętrzności ziemi orkanem przenika,
zwalił białe kolumny... krużganki... wieżyce...
zwalił pałac rękami olbrzymów wzniesiony,
co mi blaskiem i czarem olśniewał źrenice
przez krótką... krótką chwilę, jako sen ziszczony!

Na zwaliska i szczątki rozpadłej budowy
weszłam, wspierając harfę o gruz marmurowy,
by płakać...
Lecz płaczem nie jękły mi struny,
bo stało się wówczas, że zorza nademną
rozpięła olbrzymie swe łuny.
A z puszcz niedostępnych, gdzie duchy tajemną
swą mszę odprawiają o zmierzchu,
wstał poszum wezbrany, jak prom, który ciemną
wód taflę rozcina po wierzchu.

I stanął przedemną duch piękny w białości
piór, zorzom rzuconych na szarfy.
Stanąwszy, rzekł cicho: „Jam duch samotności“.
I trącił strunami mej harfy.

Gdy śpiewał, jak słońce płonęła mu zbroja
na piersiach szerokich. Pół-żywa
zdziwieniem słuchałam, że harfa to moja
pieśń taką ze strun swych dobywa.

Pieśń była, jak orkan, zuchwała i dumna;
jak górskie kaskady lecąca!
jak morze wezbrane błękitna i szumna,
a słodka, jak światłość miesiąca.

Pieśń wyła chwilami, jak złote pustynie,
gdzie Samum ognisty się kłębi:
„Hosanna! hosanna! w rozkoszy niech ginie
twych marzeń korowód gołębi!

Nad biegiem wód cichych nie wzniesiesz o wiośnie
pokornie śmiejącej się chaty;
ni domu o oknach otwartych radośnie,
zdobnego w liliowych bzów szaty.

Nie stawisz kamiennych tam fali naporom,
nie wzniesiesz pałacu z marmurów,
nie oddasz twych kaplic pół-sennym kolorom
witraży u przęseł i chórów.

Nie będzie nad głową twą strzechy plecionej,
ni dachu z blach sinych i mocnych;
ni sklepień bogatej komnaty złoconej
w godzinach słonecznych i nocnych.

Nie przyjdą do ciebie strudzeni oracze;
ni czarnych podziemi synowie;
ni barką tęsknoty niesieni tułacze;
ni biali w swych szatach królowie.

Nie zagrzmi wokoło nakrytych twych stołów
gwar głosów, zmięszanych radośnie.
Wśród ruin i gruzów, wśród zgliszcz i popiołów
ja jeden zahuczę rozgłośnie!

Nie powie w zdziwieniu nikt nigdy nikomu,
słuchając twych uczt i zabawy,
że szczęście jest wielkie u wrót twego domu,
że Pan jest na ciebie łaskawy.

Lecz przestrzeń otwarta rozdzwoni twą radość,
na niebios dalekie obszary;
cichego miesiąca wyśpiewa ją bladość;
gwiazd srebrnych powtórzą ją czary.

Sklepieniem ci będzie i dachem nad głową,
na długie wieczności okresy,
ten błękit, słoneczną rozlany posową;
ścianami twojemi — bezkresy.

Zwołają się ptacy wędrowni i leśni,
zwołają się w orszak wesoły —
Otoczą cię zewsząd, posłuszne twej pieśni,
a szałem wezbrane żywioły.

Na twoje zaklęcie wybuchną w twych oczach
lecące ku głębiom kaskady;
wytrysną fontanny o srebrnych warkoczach;
rozszumią się deszcze i grady.

Od szczytów lodowych usuną się śnieżne,
pędzące na oślep lawiny.
Kratery otworzą swe paszcze drapieżne —
Mgieł tuman zakłębi się siny.

Na twoje zaklęcie rozleją się morza
w przeczystych błękitach i ciszach.
Na wzgórzach i skałach uśmiechnie się zorza;
ukażą się święci w swych niszach.

Na twoje zaklęcie z pod gruzów i z dołów,
jak z wnętrza ciemnego kurhanu,
pojawią się duchy zetlonych popiołów
z potęgą i ogniem wulkanu.

Pochylą nad tobą swój kształt zapomniany,
zwierzając swych snów tajemnice.
Zakłębią się w oczach mocarze... szatany...
bachantki... królowe... dziewice.

Otoczą cię w płaszczach szkarłatnych kapłani
i białe, jak lilje, kapłanki.
Nie rzekną ni słowa, lecz zniosą ci w dani
łez urny przeczyste i dzbanki.

Ustawią przed tobą ściśniętym szeregiem
sto kruży, wezbranych miodami.
Owoce i wina, sączone nad brzegiem
wód świętych, przyniosą ci sami.

Na twoje zaklęcie z za mgławic przedbytu
opuszczą się duchy przyszłości.
Powitasz je pieśnią i w łunach przedświtu,
jak drogich podejmiesz je gości.

Zastawisz im stoły krużami twych miodów,
twój owoc soczysty przekroisz —
i winem szumiącem nieziemskich ogrodów
pragnienie ich warg zaspokoisz.

Z fal srebrnych wywołasz twej pieśni rozdzwonem
łódź białą, o żaglach rozpiętych;
a duchy weselnem zapełnią ją gronem
w swych szatach przeczystych i świętych.

Na wschodzie otworzy się zorza ognista,
jak toń olbrzymiego krateru —
ku zorzy popłynie łódź twoja srebrzysta,
a harfa twa stanie u steru.

Pieśń szumna potężniej, niż wichry Alpejskie,
twe żagle u masztu rozłoży.
Na błękit marzenia... na sny elizejskie
łódź twoją uniesie ku zorzy.—“
. . . .

Słuchałam. Pieśń była zuchwała i dumna,
jak górskie kaskady, lecąca!
Jak morze wezbrane, błękitna i szumna,
a słodka, jak światłość miesiąca.

I wzięłam mą harfę, prężoną w tych gamach,
by, zanim je ciemna noc spłoszy —
wśród ruin mych gmachów, na gruzach i złamach,
uderzyć w ton wielkiej rozkoszy.

SYMFONJA WIOSNY.

HEJNAŁ.

Słyszycie głos, co dźwięczy w dali
i pieśnią zorzę wita?
Słyszycie szum potężnej fali,
co jako rozkosz chwyta?
To zmartwychwstania bije dzwon,
w promiennych wstęgach świtu!
To nieśmiertelny płynie ton
z wież uniesionych szczytu!

Już się żywiołów bujne szały
podniosły w słońce wczesne.
Już się nadzieją rozśpiewały
zbudzone ptaki leśne.
To zmartwychwstania dźwięczy śpiew
pod jasną zórz oponą!
Jesiennej pracy wejdzie siew
i wyda ruń zieloną.

Wezbranych żądz wołaniem wieszczem
dusza na ustach cięży...
Takim się dziwnym, nagłym dreszczem
pierś do rozkoszy pręży.

To Zmartwychwstania dzwony z wież
budzą serc ludzkich bicia —
Zdyszaną ziemię wzdłuż i wszerz
przebiega orkan życia!

SZUM DRZEW.

— Hej sosny! świerki! dobra wieść —
Zbudzone brzozy w perłach ros
skąpały już zielony włos
i jęły długi warkocz pleść.
Nad oparami srebrny klon
rozdziera łachman szarych błon,
a stary dąb, w parowu głąb
rzucając zeschłą czoła kiść,
przyodział już wiosenny liść.

Uciszcie leśnych ptaków gwar!
Uciszcie długi szczygłów swar
i młodych wilg uroczy śmiech
i świegotliwy drozdów głos.
Niechaj zamilknie śpiewny kos;
kukułka niech nie budzi ech
od białych skał i ludnych stron —
rozszumiał się nam srebrny klon,
rozszumiał klon...

— Sto wiosen takich w barwie zórz
na ziemi tej widziałem już.
Sto razy w ramion moich splot
płynęły dreszcze ornych niw —
Sto razy już witałem żyw

jaskółek upragniony zlot —
Sto razy już...
sto razy już. —

Zdziwiony szumi lasu gwar:

— Uciszcie długi szczygłów swar
i świegotliwy drozdów śpiew.
Niechaj wezbrane szumy drzew
jak objawienia płyną dzwon —
Sto wiosen takich widział klon...
sto wiosén widział klon.

Uciszcie wilg uroczy śmiech
i rechotanie wodnych żab.
Kukułka niech nie budzi ech.
Rozszumiał się nam stary grab...
rozszumiał grab.

— Na wzgórzu tem, trzymając straż,
oglądam dziś trzechsetny raz
idącej wiosny białą twarz!
Trzechsetny raz zielony mech
u stóp mych wrasta w szary głaz —
Trzechsetny raz ptaszęcy chór,
kukułki głos i wilgi śmiech
obudza mię z zimowych snów —
Trzechsetny raz je witam znów...
trzechsetny raz...
Od gorącego wichrów tchu
drży dzisiaj szczęściem cały bór —

Radosną pieśń na liściach gra,
że wiosna zimę w otchłań gna.
Zim trzysta hej, przetrwałem tu...
przetrwałem tu. —

Na zasłuchaną patrząc błoń,
kołyszą drzewa gibką skroń.

— Uciszcie leśnych ptaków chór
i rechotanie wodnych żab.
Od gorącego wichrów tchu
drży dzisiaj szczęściem cały bór —
Zim trzysta przetrwał stary grab...
zim trzysta przetrwał tu.

Uciszcie leśnych duchów śpiew!
Uciszcie gwary wszystkich drzew!
Niech echo pada w cichą głąb —
Rozszumiał się nam wielki dąb —
rozszumiał dąb.

— Wpatrzony w kruż otwartych zórz,
nim wiosna ku nam jęła iść,
tysięczny raz odnawiam liść...
odnawiam liść.
Dziesięć się wieków u mych stóp
wśród łez i skarg pokładło w grób.
Dziesięciu wiekom dzierżę straż,
wpatrzony w jasną zorzy twarz
i w białych słońc otwarty kruż —

Lat tysiąc, hej... pamiętam już...
pamiętam już. —

Schylają się gałęzie drzew;
w pokornym hołdzie czoła gną.

— Uciszcie leśnych duchów śpiew!
Rusałki niechaj włosy rwą
i rzucą je w bezdenną głąb...
Lat tysiąc, hej... pamięta dąb...
pamięta dąb.

. . . .

— Hej gibkie brzozy, wznieście skroń!
Słuchajcie! Przez rozśmianą błoń,
po brylantowych strunach ros
przedziwnej ciszy płynie głos.

Leszczyna drży... rozkoszą drży,
strząsając ros perłowe łzy.
Paprocie ciemne u jej stóp
próbują ciche czoła wznieść.
A na wyrębie siwy buk
przedziwną boru niesie wieść...
przedziwną wieść.

. . . .

— Czy tędy szedł? — Tak — z pośród gwiazd
w orszaku duchów tędy szedł!

Nie spłoszył żadnych ptasich gniazd —
Nie zerwał żadnej zdrady pęt.

Widziały go szeregi brzóz!
Widziały go topole dróg!
W orszaku duchów zstąpił z gwiazd —
nie spłoszył żadnych ptasich gniazd.
Jutrzenka śladem jego nóg
różanych kwiatów siała puch.
Słońce ognisty w niebie stóg
paliło krwią na jego cześć!
A cisza, wiodąc jego wóz,
radosną w krąg szerzyła wieść:
To Boży Duch...
To Boży Duch...
Usłyszał ciszę siwy buk
i niesie w dal radosną wieść:
— W orszaku duchów tędy szedł;
składajcie mu hymnami cześć!
Wszechmocnym krokiem boskich nóg
nie zerwał żadnej zdrady pęt...
nie zerwał pęt...

U jego czoła w perłach ros
przedziwny blask uśmiechem grał.
W otwartych oczach mocny szał,
jak rozpalony buchał stos!
A idąc, przez rozśmianą błoń
przesuwał zwolna jasną dłoń.
Z pod dłoni tej biegł cichy dreszcz —

i wzmagał się... i płynął w świat!
Z olbrzymich jego nóg i szat
czerwonych iskier padał deszcz...
czerwonych iskier deszcz. —

Rozkołysany pieśnią mar,
powtarza szumny lasu gwar:

— Widziały go szeregi brzóz!
Widziały go topole dróg!
W orszaku duchów zstąpił z gwiazd...
nie spłoszył żadnych ptasich gniazd!
Jutrzenka śladem jego nóg
różanych kwiatów siała puch.
Słońce ognisty w niebie stóg
paliło krwią na jego cześć!
A cisza, wiodąc jego wóz,
radosną wkrąg szerzyła wieść —
to Boży Duch...
to Boży Duch.

WITAJ SŁOŃCE.

Po traw jedwabiu,
w złotym korabiu
i w nimbie róż,
z pochodnią zórz
ku nam idące —
— O witaj słońce!

Gorącą krew
w ostygłe rosy
z niebios lejące —
nadbrzeżnych drzew
zielone włosy
i skrzydła mew
zcicha pieszczące —
— O witaj słońce!

Mgle srebrnowłosej
wypowiedz bój!
Perliste rosy
niech obłok twój,
jasny cherubin
o długich piórach,
zamienia w rubin;
a w wód lazurach
lecąc jak strzała,

niech budzi z snu
różowe ciała,
rozkoszą tchu
upajające —
— O witaj słońce!

ORACZU PATRZ...

Oraczu, patrz — zielona ruń
uśmiecha się jutrzence —
Na czarny proch kolana zsuń —
Złóż ręce...

Błogosławiony długi trud
jesieni —
Oto twą niwę boży cud
zieleni!

Błogosławiony krwawy pot
twojego czoła —
Oto go dziś skowronka lot
uwielbić zdoła!

Błogosławiony lemiesz twój
u pługa —
Oto nań pada słońca zdrój
i zorzy smuga!

Błogosławiona chata twa
pod strzechą —
Oto jej boży anioł gra,
jak echo.

Błogosławione twoje sny
o bujnych żniwach —
Błogosławione szczęścia łzy
na oczu szkliwach.

Błogosławiony śmiech i gwar
słyszany z ganku —
Błogosławiony cichy czar
poranku.

Oraczu patrz — zielona ruń
uśmiecha się jutrzence!
Na czarny proch kolana zsuń —
złóż ręce...

ZORZA DNI NOWYCH.

Widzę przyszłości obraz:
Białe drogi
ulic zasłane wonnych kwiatów puchem.
Okna w girlandach; w różach toną progi.
A wieże świątyń, olbrzymim łańcuchem
śpiżowych głosów spojone w błękitach,
zda się, rozsadzić pragną strop niebieski
i wstrzymać słońca bieg, bo na ich szczytach,
stojących w blasku purpury królewskiej,
wszystkich się dzwonów rozszalały serca —
i wśród kołysań potężnych i bicia
głoszą wszechmocną, wielką chwałę Życia!

Po bujnych kwiatach wonnego kobierca
kroczy zwycięski pochód. Ludzie nowi
od zórz idący i od pól zielonych —
żeńcy wesela.
Oto srebrnogłowi
harfiarze — oto harfiarek szeregi
w szatach liljowych, jako białe śniegi,
lub opalami spiętych i czerwonych,
jak krew serdeczna — na ustach i oczach
niosą przed nimi pieśń — duszę narodów.
Oto dziewice o długich warkoczach,
białe zwiastunki nieśmiertelnych godów.
Oto młodzieńcy z rozwianemi włosy,
z gorejącemi jak pożar oczyma,

w chór archanielski połączywszy głosy,
które im pręży szał i rozkosz wzdyma,
niosą wysoko, w szczerozłotych czarach
błękitny, wonny płomień. — Płomień czysty
jak ten, co w wiecznie podsycanych żarach
wybucha z piersi młodej — hymn ognisty,
którego nie tknął jad i pył nie plami.

A otwierają pochód chorągwiami
kobiety — matki, szczęśliwe, spokojne
i pełne błogich łez. W wieńce oliwne
przyozdobiły swe czoła dostojne,
a w ich zrenicach promienie przedziwne
mówią, jak czujne dzierżą w sercach straże
i z jak potężną bronią przeciw marze
śmierci powstały te, co dają życie!

Chorągiew cudnie piękna. Na błękicie
złocą się kłosy smukłe, pełne czaru,
śpiewając duszy linjami swojemi
o woniach wiosny, o oddechach ziemi,
o bujnych zdrojach słonecznego żaru,
o wielkiej życia rozkoszy!
A śladem
chorągwi owych ludzie z czołem śniadem
kroczą rytmicznie i nad tłumów głowy
niosą najświętszą z dokonanych rzeczy,
zwycięskie godło swe i oręż nowy —
lemiesz wykuty ze stopionych mieczy.

I świeci oręż ten, jak białe słońce
na progi domów i na oczy ludu.
— O dniu radosny! o godzino cudu,
co wieścisz Boże królestwo wschodzące!

Po kwiatach idą ludzie smagłych twarzy
do bram kościoła, do białych ołtarzy,
gdzie dłoń ich zbrojna tarczą pługa białą,
z krzyża czarnego zdejmie martwe ciało
Chrystusa, iżby zmartwychwstał!.
Potopy
kwiatów u stóp ich ścielą wonne plusze.
A dzwony, hucząc, rozsadzają stropy
błękitnych niebios... rozsadzają dusze!
. . . .

Idą, śpiewając pieśń.
O nie słyszały
tej pieśni jeszcze zadumane bory,
ni wichrów polnych uniesione szały,
ni wieże świątyń, ni w złote kolory
rozśmiany oczom świt różanowłosy.

Więc się jej uczą wszystkie ziemi głosy.
Oto kamienne wchłonęły ją tumy —
Oto ją mocne pochwyciły dzwony
i niosą w przestrzeń — Oto borów szumy
jej uroczyste powtarzają tony —
Oto ją wichry unoszą chorałem
na łan, okryty kłosami złotemi...

na widnokręgów omglone bławaty...
na bujne morza... na światy... zaświaty...
unoszą mocną i wezbraną szałem
tę pieśń, co wieści Pokój — światło ziemi,
wesele matek i rozkosze dzieci —
szczęście narodów i chwałę stuleci!

— O Panie, któryś czasu długiej nocy
dał duszy ludzkiej siłę, iżby tyle
przeniosła bólu — daj jej dosyć mocy,
by dziś przetrwała w upojeniu chwilę
wielkiego szczęścia!
Jako bujne morza,
pieśń uroczysta wzbiera... rośnie... rośnie...
Już się jej rytmem, bijącym radośnie,
rozkołysały słoneczne przestworza!
A zórz porannych nadobłoczna droga
tak się jej mocnym rozedrgała tonem,
iż błękit niebios zda się jednym dzwonem,
w którym zwycięsko bije serce Boga!
. . . .

— Którzy sądzicie, iż roję w obłędzie,
wierzcie! — Na święte Wszechmocnego Imię,
na światła nocy i poranku zorze,
na tęsknot moich otchłanie olbrzymie
przysięgam — widzę nie to, co być może,
lecz to, co będzie!

ZA PIEŚNIĄ ZAPOMNIANĄ.

Ukośnie padały promienie słoneczne
i wróble z dziedzińca latały na ganek,
gdy, brodząc przez śniegi puszyste i mleczne,
wołałam: — Woźnico! zaprzęgaj do sanek!

— A dokąd? —
— Nie pytaj. Bierz czarne araby,
co lecą jak wicher i pienią jak fale.
W podwojach wozowni odejmij antaby —
na sanie rzuć ciężkie oposy i szale. —

— Lecz dzisiaj zapóźno. Dzień rychło się skończy,
a nocą, po lesie, wiatr huczy na trwogę.
Świerk każdy, czy sosna w swej białej opończy,
jak mary, koniętom trakt mylą i drogę. —

— Nie w las pojedziemy. Nie lękaj się duchów.
Jedziemy do ludzi. —
— Do ludzi? a po co?
Toć jeszcze — Bóg łaskaw — ich win i okruchów
ich chleba białego nie żebrać nam nocą.

Dość ziarn nam pszenicznych wydają śpichlerze;
wesela dość wróble, co w sadzie świergocą;
a wrzasku, hałasu — te psy, co na świeże
wciąż harce gotowe... Do ludzi? a po co? —

— Woźnico! ach, tego, co pragnę. nie dadzą
mi śpichrze, ni psy, ni te wróble, co radzą
na drzewach. Zakładaj więc konie; bierz futra.—

— Lecz pani, noc idzie! Czekajmy do jutra. —

— Nie mogę, mój stary; ni chwili nie mogę
powstrzymać tej żądzy, co gna mię hen... w drogę,
choć świat tajemnicą zagrożon jest nocną.
Bo tego, co pragnę—ach, pragnę tak mocno! —

— A czego?
— Ciekawyś? Posłuchaj mój stary.
Straciłam z pamięci mej... rzecz nie do wiary!
straciłam z pamięci tę pieśń, co dziecięce
me sny kołysała — i szarpię się w męce.

Bo oto dziś, patrząc na śniegi zimowe
tak białe, tak czyste i w skrach brylantowe,
stanęłam przy harfie i rzekłam: Dziś wierzę,
że w mocny, potężny ton szczęścia uderzę!

Że zagram pieśń taką, co z śniegów wyłoni
olbrzymie, purpurą wezbrane kielichy
róż młodych i maków; a przestwór ten cichy
rozkoszą napełni — miłością rozdzwoni.

I dłoń położyłam na strunach wezbranych.
Lecz rychło poznałam, że pieśni początek
wysnutym być musi z melodji słyszanych
w dzieciństwie, a których zaginął mi wątek.

Szukałam go długo... szukałam z rozpaczą
po wszystkich zakątkach i głębiach mej duszy.

Lecz znaleźć nie mogę. Więc struny me płaczą
i ból niemi targa — i wicher je głuszy.

Chcę jechać do ludzi; chcę patrzeć w ich oczy.
Są wiekiem schylone piastunki i starce,
co pieśń tę przypomną. To nic, że przeźroczy
kłąb śniegu rozpoczął wieczorne swe harce.

Bierz sanie z wozowni. Zaprzęgaj araby.
Dwie mile stąd—patrzaj, o tam, za tym lasem,
jest wioska, strzeżona przez lipy i graby;
tam sny me dziecięce spłynęły przed czasem.

Tam... hej! pamiętają i młodzi i starzy,
jak biegłam dziewczynką o czarnych warkoczach;
jak świece woskowe u boskich ołtarzy
paliłam i gwiazdy liczyłam w przeźroczach.

Jak szumu drzew starych słuchałam milcząca;
jak biegłam śpiewając... śpiewając bez końca!
Tę pieśń pamiętają — przypomną ją duszy.
Jedź! nic to, że biały śnieg w oczy nam prószy.—

. . . .

Jak czarne dwa wichry porwały się konie
i niosą.—Woźnico! hej, puszczaj wędzidła!
Tych śnieżnych tumanów szumiące pogonie
u ramion mych wparły olbrzymie dwa skrzydła.

Ku szczęściu! ku szczęściu na skrzydłach tych lecę!
Ku szczęściu, co nagle zginęło mi w drodze.

Sto gwiazd rubinowych, na mojej powiece!
sto iskier wydartych słonecznej pożodze!

Zakłębił się tuman i ciska pył śnieżny
i chłosta mię dziko szaloną rozkoszą!
Nad śniegiem zwycięsko, po równi bezbrzeżnej
araby swe karki okrągłe unoszą.

Niech kłębi się tuman! Niech niosą araby!
— Woźnico! hej, śmiało! nie ściągaj wędzideł.
Czy widzisz te lipy, te świerki i graby?
Czy słyszysz poszumy olbrzymich stu skrzydeł?

Szarp lejce—powstrzymaj! Niech konie przystaną.
Wieś moja. Dwa rzędy chat niskich i starych.
Krzyż wielki na wzgórzu. Nad białą polaną,
jak sine mgły, w kłębach dym tłucze się szarych.

Wieś moja. U każdej zagrody mijanej,
wśród rozkrzyżowanych rozpaczą szkieletów
drzew czarnych, psy szarpią swój łańcuch wiązany
i prężą wypukłe pierścienie swych grzbietów.

I wyją przeciągle... straszliwie... żałośnie...
To wycie drze przestrzeń—drze serce—drze duszę.
Nie było go dawniej. Psy biegły radośnie.
Podnoszę głos — wołam — Daremnie! nie zgłuszę.

Czy wieś ta umarła? Nie — jawią się ludzie.
U progów gromadzą się stare kobiety
i głośno zawodzą o nędzy i trudzie...
a głodne psy wyją... drzew stoją szkielety.

Po śniegu maleńkie się wloką dziecięta
o główkach rozdętych potwornie i płaczą.
Mróz barwi purpurą ich bose nóżęta,
a stare kobiety zawodzą z rozpaczą.

Co znaczy to wszystko? Przed laty nie było
ni wycia, ni jęków wezbranych goryczą.
Przed laty... ach, nawet nad świeżą mogiłą
bzy kwitły liliowe, wiatr śpiewał słodyczą.

Ci ludzie nieszczęsni nie pomną radości;
i śmiech zapomnieli i białe sny duchów.
Ci ludzie nie pragną wesela, ni gości.
Patrz — psy swe wyjące spuścili z łańcuchów.

Woźnico — uciekasz? trzasnąłeś biczyskiem.
Daremnie! Psy chyże, wyschnięte jak charty,
rzucają się w sanie — łeb jawią rozżarty
i gardła sięgają potwornym swym pyskiem. —

— Ach, pani łaskawa! Psy od nas daleko.
Zaledwie je widać w wieczornej pomroce.
Zgłodzone i słabe za nami się wleką,
a nasze konięta unoszą jak proce. —

— A jednak na piersi mej widzę i czuję
kieł mocno wciśnięty, co serce me pruje.
Powiadasz, że niema psów? Stary — to goni
mię ból ich silniejszy i szybszy od koni.

Nie ujdę mu wozem, niesionym jak race.
Jest przy mnie i we mnie. Rozpoczął swą pracę
i pierś moja broczy purpurą korali.
Daremnie uciekasz! — Ej, nie płacz! Jedź dalej!

Ku miastu pojedziem. Tam ludzie się roją
i piosnek tysiącem dom każdy rozbrzmiewa.
Tam znajdzie się człowiek szczęśliwy, co moją,
z dziecięcych lat znaną, piosenkę wyśpiewa.

Pamiętam, że wówczas śpiewali ją wszyscy.
Kobiety i dzieci — dziewczęta i żaki.
Śpiewali ją starcy wiecznego snu bliscy
i w niebo wiosenne nosiły ją ptaki.

Śpiewali ją wszyscy. Ktoś wreszcie przypomni.
A w pieśni tej starej jest władna moc cudu.
Więc wrócę z nią tutaj, jak grajek bezdomny,
w te chaty, gdzie jęczą od głodu i trudu.

Pod krzyżem, na wzgórzu, zaśpiewam ją znowu.
I znowu, jak wówczas, nad ciszę i bladość
zimowych całunów uniesie się radość
zwycięska, jak zorza nad głębią parowu.

I znowu, jak wówczas, okryją się w zieleń,
stojące po sadach, drzew czarnych szkielety.
Przy ogniu wesołym wiekowe kobiety
złożą swe ręce zczerniałe od pieleń.

I znowu, jak wówczas, pod słońca szkarłatem
rozśmieją się okna muślinem i kwiatem.

Psy młode rozpoczną swawolne swe harce.
Zanucą dziewczęta; rozgwarzą się starce.

Ku miastu pojedziem. Podcinaj araby.
Tam pieśń moją znają — przypomną ją duszy.
Niech znikną nam z oczu te lipy i graby.
Jedź! Nic to, że biały śnieg w oczy nam prószy.
. . . .

Jak czarne dwa wichry porwały się konie
i niosą — Woźnico! hej, puszczaj wędzidła!
Tych śnieżnych tumanów szumiące pogonie
u ramion mych wparły olbrzymie dwa skrzydła.

Ku szczęściu! ku szczęściu na skrzydłach tych lecę!
ku szczęściu, co w drodze zginęło mi nagle.
Sto gwiazd brylantowych na mojej powiece!
Sto wichrów skłębionych rozpina swe żagle!

Naprzeciw nas idzie noc biała, zadymna
i droga wtopiła się w śnieżne całuny.
Raz po raz zawieja podnosi się zimna...
Woźnico, nie lękaj się! Widzisz te łuny?

To miasto. Błyskają tysiącem swych źrenic
podmiejskie domostwa i rzędy kamienic.
Jedź prosto. Nie zbłądzim i wicher nie zmiecie
tych futer ochronnych, dźwiganych na grzbiecie.

Wjeżdżamy w ulice. Ha — patrz! — korowody
wysmukłych postaci gromadzą się tłumnie.

Gra pieśń i wre radość. Jak barwne ogrody
olbrzymich sal wnętrza weselą się szumnie.

Zatrzymaj twe konie. Wysiądę niezwłocznie
i pójdę w te światła, płynące obłocznie
po salach...

. . . .

— Woźnico, jedziemy! Hej, w drogę!
Pytałam, lecz dłużej ich pytać nie mogę.

Ci ludzie są dziwni. Czy słuch ich tak słaby,
czy głos tak leniwy — na moje pytania
nikt nie rzekł ni słowa. Podcinaj araby
i lećmy na śniegów puszyste posłania.

Słuchali z uśmiechem, jak dziecka, co bredzi.
Ich pieśni są inne. Nikt nie znał — nie słyszał.
A każdy szyderstwem pytanie uciszał,
bez słowa dobrego i bez odpowiedzi.

Nieznana im radość... Woźnico — jedź prędzej,
bo gonią mię gorsze od psów ścigających
i gorsze od długich, straszliwych wyć nędzy,
szyderskie uśmiechy ich twarzy milczących.

Jedź prędzej! —
— Lecz dokąd? —
— Pod bramy kościoła.
Czy widzisz, jak biegną tam tłumy i tłumy,
by w słodkiej pokorze pochylić swe czoła
i słuchać organu westchnienia i szumy.

U świętych, liljami zdobionych ołtarzy,
sto żółtych, woskowych świec ogniem się jarzy.
Jam dzieckiem lubiła te świece woskowe
rozpalać i w światło ich patrzeć się płowe.

Jam dzieckiem kochała się w woni kadzideł
i w nawy mię wiodła przesłodka pokusa.
Lubiłam tę białość szat świętych i skrzydeł;
tę glorję stu gromnic nad czołem Chrystusa.

I klęcząc w półcieniu, w wilgoci i cieśni,
sączyłam z mej duszy najsłodsze rozkosze.
Jak mniszka, na białe anielskich piór nosze
złożona, śpiewałam radosne me pieśni.

Śpiewają je może, jak ja je śpiewałam,
ci ludzie, co tłumnie gromadzą się w nawie.
Przystańmy! Nadzieją drżę cała i pałam.
W tłum wejdę — ich śpiewu posłucham ciekawie.
. . . .

Daremnie! daremnie! Nie znają mej pieśni.
W przedsionku, nad krzyżem Chrystusa, u czoła
pająki swe sieci rozwiodły dokoła
i mury warstwami pokryły się pleśni.

U progu świątyni przyklękam z rozpaczą.
Gdzież pójdę?
Wmięszałam się między żebrąki.
Dziad stary spostrzega, że oczy me płaczą
i trąca mię, mówiąc: — Hej... był tu już taki!

Był człowiek, choć młody, co skarżył się światu,
że pieśń swą dziecięcą z pamięci utracił.
Jałmużnę mi dając — Bóg oby zapłacił —
o bólu swym mówił serdecznie, jak bratu.

Miał płowe kędziory nad czołem wysokiem.
Głos drżał mu, a oczy wypukłe i siwe
paliły, jak ogień. Na twarzy, pod okiem,
widziałem u niego dwie blizny straszliwe. —

— I co się z nim stało? —
— Ha — stąd, przed godziną
szedł, mówiąc, że znajdzie te piosnki przecudne.
— A dokąd się zwrócił? —
— Na gołą i siną
polanę tych śniegów — na puszcze bezludne. —
. . . .

— Woźnico, jedziemy! Podcinaj twe konie.
O miałeś ty słuszność, żeś jechać się wzdragał
do ludzi. Wjedziemy na puszcze i błonie.
To nic, że nas będzie śnieg bił i wiatr smagał.

Chcę szukać mej pieśni na polu otwartem,
gdzie wichry szaleją! gdzie sosny się łamią!
Gdzie miesiąc żegluje w obłoku rozdartym,
a dymy śnieżystych całunów nie plamią.

Usłyszę ją w szumach wezbranej wichury,
gdy pruć ją będziemy piersiami wśród jazdy.
Usłyszę ją w ciszy, gdy księżyc i gwiazdy
swe oczy srebrzyste wychylą z za chmury.

Tak stąd, przed godziną, szedł brat mój nieznany
po nutę piosenki w dzieciństwie słyszanej.
Spotkamy się kędyś — spotkamy u celu
i dłonie złączymy w promiennem weselu.

. . . .

Jak czarne dwa wichry porwały się konie
i niosą — Woźnico! hej, puszczaj wędzidła!
Tych śnieżnych tumanów szumiące pogonie
u ramion mych wparły olbrzymie dwa skrzydła.

Ku szczęściu! ku szczęściu na skrzydłach tych lecę!
ku szczęściu, co w drodze zginęło mi nagle.
Sto gwiazd brylantowych na mojej powiece!
Sto wichrów skłębionych rozpina swe żagle!

Noc biała, zadymna wchłonęła nas w siebie
i głowy spowiła w swe mgły srebrnookie.
Raz po raz, przez tuman, strzelają na niebie
przydrożne topole wysokie... wysokie...

Mróz ściska me skronie w stalowe dwie sztaby
i łamie kość... Żywiej! unieście araby!
Smagajcie mię wichry! smagajcie co siły!
Krzepnącą krew budźcie i pędźcie w me żyły.

Ach — co to? Stanęły rumaki spienione
i wparły kopyta w śnieżyste bałwany.
Daremny trzask bicza i głosy wzniesione.
Nie ruszą. — Czy drogę nam zaszły szatany?

Czy ciemne upiory obległy nas zgrają?
Woźnico! co znaczy? Rżą konie... parskają...
Co znaczy? —
— Ach pani! W rozdartej odzieży
na śniegu tym bialym, człowieka trup leży!

— Co mówisz? Tak, prawda! Trup leży człowieka,
a śnieżna zadymka całunem obleka
pierś martwą i cichą. Nad czołem wysokiem
włos płowy — dwie blizny podłużne pod okiem.

To brat mój nieznany. Szedł pieszo w noc mroźną
i wicher go zwalił prawicą swą groźną.
Zabiły go śniegi. — Twarz cicha łagodna,
a z powiek źrenica wypręża się głodna.

Mój bracie! kochanku! mój wodzu nieznany!
Spotkałam cię wreszcie... spotkałam bez duszy.
Twą duszę tęskniącą zmiażdżyły bałwany
tych śniegów i pył ich na oczy twe prószy.

Nie było ci danem odnaleźć w tej drodze
straconych twych skarbów — dziecięcej piosenki!
Nad martwą twą głową jak płaczka zawodzę,
targana bólami przedśmiertnej twej męki.

Ustami przelewam żar krwi w twoje usta
i z źrenic wysączam śnieżyste okruchy.
Daremnie! daremnie! źrenica twa pusta
i pierś twa bez tętna, jak przestwór ten głuchy.

Nie jesteś mi obcym. Pamiętam — pamiętam —
Bawiłam się z tobą na błoni słonecznej.
Tak—prawda! W tym samym żywocie poczętam.
Ten sam piłam we śnie dziecięcym sok mleczny.

Biegaliśmy razem przez lasy i pola,
śpiewając te same, przesłodkie piosenki!
Ta sama pszeniczna karmiła nas rola.
Te same w świat dzisiaj pognały nas męki.

Woźnico! Ach, czego chcesz teraz odemnie?
Dlaczego mię szarpiesz i ręce rwiesz moje? —

— Wracajmy! Tu śmierć jest. Z nią bić się da-
[remnie.
Jak ten tu umarły, zginiemy oboje.

Wracajmy! —
— Ha — wracaj! Twej męki i zgonu
przyczyną być nie chcę. Powracaj. Bierz sanie.
Ja sama wyruszę na dalsze szukanie,
bom w duchu przysięgła nie wracać bez plonu.

Przysięgłam, że pierwej me stopy bezdomne
nie wrócą ku łożu, gdzie sny me rozgrzewam,
nim nutę dziecięcych lat duszy przypomnę;
nim pieśń tę na strunach mej harfy wyśpiewam.

. . . .

Podciąłeś rumaki! Opuszczasz mię... stary
przez tyle lat wierny woźnico i sługo!

Przez pola dalekie... przez śnieżne obszary
lot koni twych czarną przewija się smugą.

I zda mi się — słyszę przez wichru poszumy,
jak jęczysz i szlochasz i płaczesz nademną,
a nie masz odwagi pozostać. To tłumy
upiorów mgławicą objęły cię ciemną.

Więc samej iść trzeba przez śniegów tych morza.
O bracie mój biedny — nie podasz mi ręki!
Nie pójdziesz ty ze mną w te białe przestworza
za echem dalekiem straconej piosenki.

. . . .

Przez śniegi bezbrzeżne brnę stopą skostniałą;
przez wichry, co kłębią zadymki sieć białą.
I szukam w ich głosach, huczących rozgłośnie,
dziecięcej piosenki o szczęściu i wiośnie.

Szaleństwo! Śnieg wbija swe igły lodowe
w me usta... w me oczy... przekłuwa powieki...
i wicher mię smaga. — Ktoś głazy pudowe
u nóg mych zawiesił... Ach — cel mój daleki!

Upadłam. — O zaświeć! o zaświeć mi słońce!
W czerwone płomienie twe opleć mię całą!
O wichrze! nie smagaj! Twą pieśń oszalałą
mam w duszy, jak stado upiorów wyjące.

Podniosę się jeszcze! Podniosę... ożywię...
oparcia dla rąk mych...

. . . .

Co znaczą te dzwony...? te pieśni i hymny...?

. . . .

O bracie mój! jakżeś ty cierpiał straszliwie, gdy twoje nadzieje wezbrane ściął zimny dreszcz zgonu...

W TATRACH.

Naszej rozmowy słuchały łańcuchy
Tatr, jak skupione wokoło nas duchy
olbrzymich władców, których czoła płoną.

Mówiłam, patrząc w jego twarz schyloną:
— „Odejdź! Nienawiść czuję do widoku
twojej pochmurnej twarzy i do wzroku,
którym mię ścigasz. Czarne włosy twoje
wkoło twej głowy kłębią się, jak roje
występnych myśli i upiornych mgławic.
Twe oczy grają wężami błyskawic
i snują żądzy nietłumionej cienie.
Odejdź! twój głos jest zgrzytem, a milczenie
twoje od głosu zgrzyta silniej jeszcze.“

Odrzekł: „Więc w owe zgrzyty, jako w kleszcze
pochwycę duszę twoją i na wieki
ujarzmię. Słuchaj — gdzie ten szczyt daleki
w ognistym hełmie stoi i w purpurze,
tam jest królestwo moje. Na tej górze,
wśród chmur płonących i rozwartych ciemnic,
objawię tobie potęgę tajemnic,
których znać nie chcesz, bo ich nie znasz jeszcze.
Tam, harf olbrzymich tony słysząc wieszcze
i w otchłań patrząc źrenicą zuchwałą,
mojej miłości pieśń zrozumiesz całą!

Wstań i chodź ze mną."
„Nie — nie chcę! nie mogę!
Śpieszno mi wracać na otwartą drogę
równin, co w słońcu leżą modrolite."

„Straszą cię grzbiety moich Tatr, okryte
żałobą świerków? i blade orszaki
mgieł, wstępujących na kamienne szlaki?"

„Tęsknię do żytnich pól, gdzie oczy pali
czerwony uśmiech maku w złotej fali
kłosów, gorącym wiatrem kołysanych."

„Chodź ze mną! Ujrzysz na szczytach wybranych
czerwony słońca śmiech, gdy pełne chwały
bije krwią żywą w rozszarpane skały."

„Tęsknię do głosu dzwonów modlitewnych;
do szumu topól, do fujarek śpiewnych
i do cichego polnych świerszczy grania."

„Zapomnisz o nich, gdy usłyszysz łkania
wichury halnej i nawałnic młoty!
Gdy cię ogłuszą straszliwe łoskoty
wód, co zerwanej chmury wzdęte ciałem
lecą w urwiska — lecą z takim szałem,
z jakim ku tobie rwie się miłość moja!"

„Tęsknię do szczęścia. Jak wierna ostoja
błyska mi szczęście moje pośród głosów
wieczornej ciszy, na posłaniu wrzosów."

„Chodź ze mną w Tatry. Poznasz szczęście nowe!
Nie przez mgły białe i zmierzchy różowe
spłynie ku tobie modlitwami dzwonów,
lecz dziko... dumnie... z niewidzianych skłonów,
jak ptak drapieżny szponami ostremi
niosący łup swój daleko od ziemi,
w chwili, gdy czarna noc orkany pręży —
padnie na pierś twą rozkosz — i zwycięży!"
. . . .

Mówił — słuchały go czarne łańcuchy
Tatr, jak skupione wokoło nas duchy
olbrzymich władców, zadumanych groźnie.

Więc opuściłam go i zbiegłam trwożnie
przed tem nieznanem, co on z taką mocą
zwał szczęściem. Biegłam, myśląc, że przed nocą
czarną uciekam i przed zgubnym ciosem.
On wołał za mną uniesionym głosem:
— „Nasze spotkanie nastąpi niebawem!
Do zobaczenia — hej! nad Czarnym Stawem!"

Mijały zmierzchy, dnie i noce całe.
Szły jasne słońca, zorze, gwiazdy białe
ściętą wierchami linją horyzontu —
i nie widziałam go u stóp Gewontu.

Zrazu nad duszą moją biły dzwony
zwycięskiej ulgi. Lecz w nizinne strony
nie powracałam — sama nie wiem czemu.

I radość niosła mię ku miejscu temu,
gdzie w ów czerwony zmierzch grały zwierzenia
miłości... szału... rozkoszy... zniszczenia.

A potem radość przeszła w ciszę. Długi
czas stałam codzień nad brzegami strugi,
patrzyłam w wodę i z pół sennych wrażeń
toczyłam wiry błękitnawych marzeń.

Z ciszy się potem zrodziła tęsknota.
Poczęłam tęsknić — nie do łanów złota
pszennego, ani do uśmiechu maków.
Tęskniłam... nie wiem do czego... do ptaków,
które się niosą na skrzydłach wysoko,
pełnemu słońcu patrząc oko w oko!
Do ptaków, których szpon zagięty sztywnie
wyciska z piersi krew... tęskniłam dziwnie.

. . . .

To jedno tylko było mi wiadome,
że ta nienawiść, którą nieruchome
źrenice jego w pierś moją rzuciły,
wzbierała coraz i wzrastała w siły.
Bo przeklinałam go krwią... sercem... duszą...
i lżyłam twardo, kiedy nocną głuszą
wichry, rozdarte jak skarga echowa,
do okien moich niosły jego słowa.

Aż raz w noc głuchszą, spłakaną żałośniej,
wicher o szyby moje, bijąc głośniej,
z dzikszą rozpaczą i większą wściekłością
zawył: — Nienawiść twoja jest miłością! —

Nie uwierzyłam. Zapragnęłam nagle
uciec, jak gołąb, co rozpina żagle
swych skrzydeł białych, widząc lot jastrzębia.
Rozkołysała się podemną głębia
przerażeń ciemnych. Myślałam z rozkoszą
o gładkiem łonie pól, gdzie się unoszą
lekkie skowronki i jaskółki drobne,
a kłosy stoją złotym snom podobne
i pieszczą liście brzezin pochylonych.
Czekałam tylko dnia, by wrócić do nich.

A kiedy świtu błysnęły szkarłaty,
stanęłam w progu mej góralskiej chaty.

Spojrzałam: W blasku zorzy, rozpalonej
na łonie mgławic, gorzał Wierch Czerwony.

Kościelec roztlił kraniec horyzontu,
a wyciągnięty snem rycerz Gewontu
płonął na stosie w kłębach sinej chmury.

I padał na mnie blask owej purpury,
iż się poczułam wielką, pełną mocy
do walki z burzą i z wichrami nocy.

I mówił do mnie świat o jakimś mroku...
o tajemnicy dziwnej... o wyroku,
co w głębiach jednym kreślony wyrazem...

Więc wzięłam w rękę kij kuty żelazem
i biedz poczęłam w szkarłatnej godzinie
dnia wschodzącego. —

. . . .

Wiatr niósł ku dolinie
Czarnego Stawu.

Chmury skłębiły się olbrzymim wałem,
rzucając dymy swe po niebie całem,
kiedy, zdyszana i w ogniu krwi młodej,
stanęłam wreszcie brzegiem czarnej wody.

W ponurem cielsku chmur ginęły szczyty.
Kurczył się parów wełną mgły okryty,
jak się przed zimą kurczy zwierz bezdomny
na letarg głodu. A wicher ogromny
darł jego wełnę i zamrażał tchnieniem.
. . . .
Szałas górala był dla mnie schronieniem.
. . . .

I minął długi dzień — i noc — i znowu
równy dzień powstał. Szare mgły parowu
leżały na nim drętwe, jak wilgotne
łachmany, które dnie zmoczyły słotne,
a potem twardo ściął mróz lodowaty.
I zacisnęły się te zimne szaty
mgieł na szałasach... kamieniach... wyżynach...
na mchach zielonych i kosodrzewinach...
na moich oczach... ustach i ramionach...
na szyi dławiąc..., na piersi w brzemionach
ciężkich... Świat wkoło był jedną mgłą szarą —
mgłą było życie. Senną, mglistą marą
szła myśl po mózgu — i mgłą światło liche
pełzało w okna. Dnie płynęły ciche...

nieobliczone... powszednie... niedzielne...
płynęły równo... ciche... i śmiertelne.

Poczęłam wątpić, że był czas, gdy słońce
stało w błękitnem niebie gorejące
i oblewało miasta... gaje... sioła...
zielony jary... rzeki... wierchów czoła.

Poczęłam wątpić, że wspomnienia życia:
moje radości, pieśni, dzwonów bicia,
bóle i prace nie są błękitnemi
snu wspomnieniami; że ujrzę na ziemi
raz jeszcze światło dnia i gwiazd kagańce
i w linjach czystych widnokręgu krańce.

I już pragnęłam szczęścia tylko tyle,
by się przedemną, na maleńką chwilę,
z za mgły odsłonił jaki odłam skały,
lub gałąź krzewu, albo kamień biały;
kształt chaty, albo czarna łuska wody.

Z góralem, który pasł na łąkach trzody
i snuł powieści, siadałam pospołu
pod mgłą, jakoby pod deszczem popiołu.

Góral miał kożuch brązowy na grzbiecie.
Kożuch z tym grzbietem jego zrosły w lecie
i zimie chronił kształt piersi śpiżowej
i ciemną szyję. Twarz była brązowej
barwy; brązowe oczy przymrużone
i nawet wargi jego, wyprażone

skwarem brązowe były. Rysy twarde,
nie obleczone dumą, ani harde,
lecz obojętne — skrzepłe — w niedościgłej
drętwocie głazu. Jak kamień wystygły,
na mchach brązowych i na ciemnej skale
siedział, od skał tych nie różniąc się wcale.

I znać, że w jego piersi biły grady,
wichry, pożary dnia i chmur opady,
mgły, śniegi, mrozy i szumne ulewy
jak w owe głazy, w owe mchy i krzewy.

Pytał mię czasem obojętnym głosem
na kogo czekam, przywiedziona losem
w ten chmur kłębami zadymiony parów
i żyć zmuszona wśród posępnych jarów.

Schylałam wtedy twarz nad wodą czarną
i drżałam dreszczem okropnym pod marną
osłoną płaszcza, który mgła wilgotna
wskróś przenikała. Czułam się samotna.
. . . .

Poczęłam wierzyć, że kocham. O zmroku
mówiłam sobie głośno, z szałem w oku,
że gardzę szczęścia cichego ostoją!
I wydzierałam z piersi miłość moją,
aby jej spojrzeć śmiało w oczy. Była
jak uwięziony ptak... rozpaczą wyła.
I dziko, bólem prężona śmiertelnym,
rwała się w przestrzeń ku szałom weselnym.

Wśród ciszy wielkiej wołałam bez głosu:
— Kocham cię! kocham! panem mego losu
jesteś i władcą moim! Nieprzytomna
pragnieniem tęsknię i czekam bezdomna!
Czekam na krwawe ust twych całowanie,
którem mię twoją uczynisz! W otchłanie
królestwa twego nieś mię, nieś bez lęku!
Rozkoszą moją jest być w twoim ręku
łupem bezbronnym, oderwanym ziemi —
rozkoszą wić się pod szponami twemi!

Kocham — ach, weź mię na czerwone szczyty!
Tam żądzą głodny — rozkoszą niesyty
będziesz pierś moją darł dziko, aż tryśnie
żywa fontanna krwi i ogniem błyśnie
na twoją cześć!.. Ach kocham! kocham i szaleję!
. . . .

Mgły popiołami grzebały nadzieję.

Aż dnia jednego, z sennych oszołomień
zbudził mię nagle złoty słońca promień.
Na czoło padł mi radosnem świtaniem
i ssał powieki ciepłem całowaniem.

Więc się zerwałam bez tchu: Ruch był w chacie.
Wybiegłam. W pełnym, boskim majestacie
stały ogromy Tatr: Zawrat... Swinica...
Kozi Wierch... Turnie... Wśród nich tajemnica
czarnej, milczącej wody...

Bez oddechu
stałam, bez głosu — drżąc cała w uśmiechu
słońca...
I wówczas on stanął przedemną.
. . . .
Poszliśmy ścieżką dziką i tajemną.

Żar słońca palił, jak rzucana światu
fontanna ognia. Po ścieżkach Zawratu
za moim wodzem pięłam się zdyszana.

Chwilami, w zęby skał wparłszy kolana
i konwulsyjnie zaciśnięte ręce,
stawałam cała w płomieniach i męce,
by chłonąć okiem ponure obrazy
dolin i stawów.
Przez olbrzymie głazy
bezładne, ciężkie, posępne, ohydne
patrzały ku mnie z ciemnych głębin widne
tafle zamarzłej wody, jak źrenice,
w których Duch Boży zamknął tajemnice
wielkiego bólu. — Cicha, łzawa karta —
nad nią olbrzymia paszcza skał, rozdarta
dziko, jak rozpacz...
Zacisnęłam zęby.
Czułach strach — Ciemne, granitowe kłęby
zakołysały się — oblekły kirem
i jęły krążyć oszalałym wirem,
jak jedna ciemna, wszechchaosu plama,
w której ja — atom drobny — stałam sama.

On biegł nademną do słonecznych szczytów,
jak orzeł piękny legendarnych mitów.
Więc wyciągnęłam ku niemu ramiona:

— „Zejdź do mnie! Oto z rozdartego łona
przepaści ciemnej pełzną węże grozy,
Oplotły szyję i w czarne wąwozy
ciągną... ach, ciągną...“
Zbiegł i ściany stoków
wołaniem jego i szelestem kroków
huknęły nagle, jako dzwon daleki.

Rzekł: „Podaj rękę i zamknij powieki.
Idź za mną ślepa po skalistem zboczu,
nie otwierając osłoniętych oczu
i nie pytając, dokąd cię prowadzę.“

Spojrzałam w oczy jego. Całą władzę
duszy skupiłam, by patrzeć, bo wzrokiem
dumnym i mocnym, jak słońca urokiem,
spojrzenia moje oślepiał. Na licach,
na ustach jego i wielkich źrenicach
ujrzałam nagle krwawy blask uśmiechu,
jak błyskawicę jasną.
Bez oddechu
chwyciłam dłońmi ciemne zręby skalne
i biedz poczęłam, jakby wichry halne
niosły mię w górę.
Wołałam: „Mniej jeszcze
trwożą mię głębie i zawrotów dreszcze
i skał rozwartość i szczelin uroki,
niżeli ślepe pod twą wodzą kroki!

Ogień niebieski szalał. W mocnym żarze
raz po raz nurzał nasze smagłe twarze.
Czułam, że wypił wszystkie ust mych soki,
że stopy moje wtłacza w gór opoki,
a w piersiach ranę otworzył szeroką
i ssie ją...
Drętwe, rozpalone oko
w obłędzie biegło po kosodrzewinach,
jakby szukając na ich suchych trzcinach
winnego grona, lub ziemnej jagody.
Zwęglone usta szeptały:
„Ach wody!
Ach wody! Gdyby który z tych kamieni
zaświecił nagle kryształem strumieni,
zapłakał kilku srebrzystemi łzami,
kroplą wilgoci czarnej, która plami
nad brzegiem stawów drobne głazy białe,
ssałabym kamień, jak dziecko zgłodniałe
ssie piersi matki."
Nachylił się ku mnie
i z wichrem, który bił w me czoło szumnie,
jął mówić:
„Spojrzyj! Tam, w sklepionym żlebie
sączy się strumień srebrny, jak na niebie
przeczysty obłok. Słyszysz jego granie?
Zsuniesz się ze mną po tej stromej ścianie,
która nas odeń piersią swą rozpadłą
dzieli... Patrz — skała lśniąca, jak zwierciadło,

co się uśmiecha, u ciemnego łona
podaje tobie bujne, świeże grona
swoich łez...“
Drgnęłam, jak ludzie szczęśliwi,
lecz zapytałam: „Czy wrócimy żywi?“

Milczał.

. . . .

Na piersiach zacisnęłam końce
mojego płaszcza, czując, że mi słońce,
jakby zastygło nagle na niebiosach,
rzuca promienie swoje w zimnych rosach,
jak sople lodu...

Na Orłej Perci strom weszliśmy śmiało.
Rzekł: Dziś napoisz oczy twoje chwałą
rzeczy nieznanych. Patrz: od grzbietu Siwej
tabun chmur, pędząc z rozwianemi grzywy,
na rogach szczytów rozdziera w męczarni
kłęby, tętniące orgią burzy czarnej.

Spojrzałam. Szczyty, zebrane dokoła,
jawiły sine przerażeniem czoła
i stały nieme. Wszystkie wzgórza w dali
oblekła siność — drętwa siność stali.
A chmury ciężkie, skłębione i ciemne
leciały przez nie, czając się tajemne
między stalowe łoża śnieżnych puchów,
jak sabat czarnych, rozkiełznanych duchów.
Lecąc, błyskały źrenicami gromów
i biły twardo w łona skalnych złomów
echami swojej piorunowej pieśni.

Leciały do nas, jak puhacze leśni
na rozpostartych w nieskończoność piórach.
Ta myśl, że lecą, zaciskała w sznurach
śmiertelnych duszę.... Nie było schronienia.

Burza szła do nas, jak bóstwo zniszczenia.
Więc ciała wparliśmy w skaliste złomy
i czekaliśmy jej tak nieruchomi,

bezbronni, mali, nieskończenie mali,
jak ziarnka piasku w oceanu fali.

Przyszła. Objęła nas. — Rozkoszą wściekłą
wyła nad nami w głos, jak wyje piekło
nad zagrożonym śmiercią potępieńcem.

Potem oplotła nas piorunów wieńcem
i siekła gradem — siekła setki razy,
jakby nas chciała wbić, wtłoczyć w te głazy.
Potem objęła nas wichrów żywiołem.
Darła za włosy — okręcała kołem,
w które się wszystkie Tatr orkany wprzęgły.

Wołałam: Wichry na nas się sprzysięgły!
Szałem zniszczenia gra nuta ich śpiewu.
Słyszysz? Szukajmy na tych skałach krzewu,
by wplątać ciała i wichrom się bronić.

Rzekł: — Ukochana! nie tam ci się chronić.
Wszak jesteś ze mną — Pójdź w moje ramiona.
One obronią cię lepiej, niż łona
tych skał, niezwykłe ludzkie ciała nosić.
Rozkoszą moją będzie wichrom głosić,
że cię z mych objęć żaden żywioł gnany
żądzą zniszczenia nie wydrze! Orkany
wichrów i burzy chcą mi wydrzeć ciebie.
Będę im w oczy śmiał się — bo na niebie
i ziemi niema siły dość szalonej,
by mi odebrać jeden włos twej skroni!

Mówił — i do mnie wyciągał ramiona.
Uciekłam... W chmurę uciekłam spłoszona
i biedz poczęłam po skalistem zboczu,
aby nie widzieć ognia jego oczu.

Wołałam głośno: — Mniej mię trwożą szały
burz rozhukanych na wierzchołkach skały
i chmury, pełne gromowego błysku,
niż szał drapieżny twojego uścisku!

Dolina Pięciu Stawów, cała w zorzy,
dzwoniła głosem skalistych podłoży
i grała pieśnią lecących potoków,
jak złotostruna harfa.
Naszych kroków
bieg stał się cichszy. Po stosach kamieni,
jakby po stopniach ołtarza, skupieni
szliśmy, mijając zadumane stawy,
do wodogrzmotów olbrzymiej Siklawy.

. . . .

Szum, huk i łoskot objął głowę moją.
Stałam w głębokim parowie, jak stoją
ludzie szczęśliwi w godzinie objawień.

Od szczytu ciemnych, bezkształtnych ustawień
skał rozerwanych niósł się żywioł biały,
mocny — lecący w przestrzeń — oszalały,
jak żywioł Boga!
Przez pionowe spady
pędził, rozbity na trzy wodospady,
a najeżone czarnych głazów zęby
szarpały jego rozhukane kłęby.

Nie zważał! Wściekły miłowaniem dzikiem,
gnał ku nim z szumem, łoskotem i rykiem!

Pędził... grzmiał... walił... ciskał mocne ciosy
jak rozkosz..!
Padłam na kamienne stosy.

. . . .

Och, nie być sobą, a przez wieki całe
być tym żywiołem, co uderza w skałę!
Jak on rozbijać piersi kryształowe
na tysiąc mlecznych gwiazd i w te pionowe
ciskać otchłanie — i znowu — i znowu
pędzić i szaleć nad głębią parowu!

. . . .

Wówczas ujrzałam jego dwie źrenice
przepastne... wielkie... jak dwie tajemnice
szczęścia i bólu, zrosłe z sobą w szale.

Mówił — a łoskot wód na ciemnej skale
potężnym hukiem rwał jego wyrazy:

„Jam jest, jak owe dumne, czarne głazy,
o które pierś twa rozbić się spragniona!
W objęciach moich tryśnie z twego łona
ognista fala łez i krwi i śmiechu —
upojeń szczęścia i przerażeń grzechu —
łoskotów burzy i hymnów ekstazy —
Jam jest jak owe dumne, czarne głazy.“

. . . .

Mówił — Ustami pełnemi płomieni
chwytałam oddech i w ciemnej przestrzeni

słyszałam łoskot serca równie głośny,
jak szum żywiołu i równie radośny.

Więc zawołałam, zamykając oczy,
aby nie widzieć, jak z głębokich mroczy
rozpięte widma nademną się wznoszą —
— „Orle mój, weź mię! — i zabij rozkoszą!“

Kiedy wróciłam między ludzi, w pola,
gdzie czekał pług mój, dom, ogień i dola,
stały się oczy moje drętwe — usta
zwarte milczeniem, a pierś dziwnie pusta.

I odtąd wiodę życie pośród grona
ludzi, jak obca, niema i uśpiona.
Do ludzi mówić nie mogę — nie umiem.
Gdy mówią do mnie — słucham — nie rozumiem.

I chodzę w owej samotności głuchej,
jak we mgłach grozy chodzą nocne duchy.
I na mych piersiach dźwigam ją bez skargi
jak ołowiany pancerz.
Czasem, wargi
kąsając do krwi, w głos oskarżam siebie.
I jako marzą nędzarze o chlebie,
tak marzę o tem, by nawiązać cudem
nić rozerwaną, którą z takim trudem
wiłam od dziecka między mną, a światem.
Usta milczące chcę osłonić kwiatem
uśmiechu — mówić...
Słyszę szum parowu...
łoskot burz... wichry — Milknę.
Czasem znowu
myślę, że życie, ból, rozpacz jest ciemną
marą snu tylko; że przeminie ze mną

głód, który znoszę — łza, którą wylewam,
a pozostanie tylko pieśń — więc śpiewam.
. . . .

Z potęgą burzy budzą się wkoło mnie
mary wichrowe, skłębione ogromnie,
jak orgie duchów, co zdobywszy szaniec,
zawodzą dziki, tryumfalny taniec.

I wówczas widzę blisko... blisko... w mroczu
wspomnienia jego ramion — jego oczu —
jego brwi mocnych — jego włosów czarnych —
jego uniesień i spojrzeń pożarnych.

Stają przedemną tych wspomnień obrazy,
jak nieruchome, dumne, czarne głazy,
o które bije dusza moja głodna.

I wówczas, w szale miłości swobodna,
pierś moja tryska łez i krwi fontanną —
i huczy, szumi nad głębią otchłanną
hymnem wezbranym i niesionym w ciszy,
którego nie zna nikt — i nikt nie słyszy.

NA GERLACHU.

Gerlachu! na twój czarny grzbiet o chwili rannej
uniosłeś mię, jak wicher unosi orkanny!

Nieprzytomną wchłonąłeś w twe żleby kamienne,
jak burza wchłania piersią szepty fali senne.

Nieprzytomnej twe groźne otwierałeś paszcze,
gdym deptała i darła twoich śniegów płaszcze.

Nieprzytomną chwytałeś, jeżąc ostre zęby,
gdym dłonie krwią zbroczone wciskała w twe kłęby.

Lodowatym tchem śmierci ścigana po grani,
jam oto szła w płomieniach, nie widząc otchłani.

I na szczycie twym wąskim, u chmur ciemnych proga
spoczęłam, jak ognista łza na czole Boga.

. . . .

. . . .

Gerlachu! oto zimne głazy twego szczytu
w me członki leją zwolna drętwy sen granitu.

W szarym tumanie lodu, otwarłszy powieki,
przeżywam długie... długie... nieskończone wieki.

Nieruchomą źrenicą patrzę w nieruchome
twarze głazów i w kształty ich widmowo strome.

Patrzę w wieczność, co snuje przed mym dręt-
[twym wzrokiem
lodowatą swą szarość wolnym... wolnym krokiem.

I niema w moich oczach żadnej iskry życia —
w skroniach moich przerwane wszelkich pulsów
[bicia.

I niema w moich piersiach nic, coby wołało,
że się serce miłością pręży oszalałą.

I niema w mojej duszy żadnych... żadnych marzeń,
ani pamięci dawno przeminionych zdarzeń.

I szczęśliwam, że zokół czerpiąc dziwne moce,
twarz ma chłodna i żaden w niej nerw nie dygoce.

Że, pozbywszy się słońcem tętniących obrazów,
niczem od tych omszonych nie różnię się głazów.

Że wobec tych chmur ciemnych, co nad głębią
[wiszą,
moje usta tak wielką zawarły się ciszą.

Żem jest na niedostępnym granicie milczenia,
jak bóstwo nieśmiertelne, wykute z kamienia.

. . . .

. . . .

Gerlachu! oto chmurne rozdarłeś tumany
i jawisz mi świat nowy — piękny — niewidziany.

U stóp mych nisko... nisko... bijąc w garby stoków,
kłębi się białe morze spienionych obłoków.

Kłębi się otchłań, ludzi dzieląca od Boga,
a z fal jej szczytów rzesza wyłania się mnoga.

Stoją w całunach grozy, a wichury szumne
smagają bezlitośnie ich postacie dumne.

Iż się zuchwale wzniosły czołami swojemi
nad morze, którem Bóg się oddzielił od ziemi.

Iż się płomieni gromów i wężów błyskawic
nie ulękły, wtapiając oczy w łona mgławic.

Iż grzbietów, które biczem chłosta zima długa,
nie dały stopom ludzi, ni lemieszom pługa.

Iż wobec burz, co łamią nadotchłanne limby,
co rano zorzom kradną purpurowe nimby.

Smagają je szumiące wichury i grady,
żłobiąc na ich obliczach łez straszliwych ślady.

Więc tak w całunach grozy stoją czarne szczyty —
nieruchomo, męczeńsko wpatrzone w błękity.

I wśród wichrów, co wyją u każdego żleba,
wśród nawałnic łez strasznych—piją rozkosz nieba!
. . . .
. . . .

Witaj! dzika, posępna ojczyzno mej duszy,
którą pomruk burz wielkich napełnia i głuszy.

Witajcie śnieżnym płaszczem odziane granity —
i wy, łzami nawałnic rozpłakane szczyty.

Witajcie! Wobec chmur tych olbrzymiego gmachu
ślubuję wam dozgonną wierność...
O Gerlachu!
Daremnie ty, daremnie trwożysz mię pochodem
twych upiorów zbudzonych, twych mar korowodem!

Otoczcie mię upiory! Z za wilgotnych głazów
wysuńcie twarz... Nie lękam się żadnych obrazów.

Zbliżcie się do mnie wszystkie! Rozpocznijcie
[taniec.
Rozpalcie łuczyw waszych ognisty kaganiec.

Otoczcie mię upiory! Mogę patrzeć śmiało
na wasze oczy puste... na obwisłe ciało.

Waszych ust się nie lękam sinych. Rzućcie echu
długi... długi... huczący grzmot waszego śmiechu!

Zawiedźcie skarg i klątew zgrzytliwy różaniec!
We mnie jest taka cisza... Rozpocznijcie taniec!

. . . .
. . . .

Krążą mnogie upiory... wynędzniałe larwy
o członkach długich... z twarzą ołowianej barwy.

Rycerze w połamanych zbrojach... wyschli starce
o łysych czaszkach wiodą nieprzerwane harce.

Kobiety pół rozdarte... dzieci pół człowiecze
rzucają się piersiami na stalowe miecze.

Olbrzymy, tracąc członki i krusząc oręże,
rozpadają się w drobne karły... psy i węże.

A oto widmo starzec, naśladując skoki
swych synów, pada twarzą na śliskie opoki.

I stopy larw, miotane żądzą oszalałą,
natychmiast w puch roznoszą jego wątłe ciało.

A oto widmo rycerz o kry granitowe
rozbija ciężkim hełmem oślepioną głowę.

Głowa z ohydnym wrzaskiem stacza się po stokach;
widmo bezgłowe tańczy w konwulsyjnych skokach.

A oto kształty dziwne, członkami swoimi
pełzające ze szczelin, rosną w cień olbrzymi.

Kobieta — mara, wyższa nad wszelkie upiory,
z płachty na piersiach rzuca dzieci—pół-potwory.

Rzuca je w otchłań z dzikim, obłąkanym śmiechem.
Widma tańczące głośnem wtórują jej echem.

A oto widmo łyse, bezokie, nademną
pochyla się, w me oczy patrząc jamą ciemną.

Odpędzam je tchem piersi, by nie zmęczyć dłoni;
a oto przestrzeń wzbiera szumami pogoni.

Zastępy orłów, lecąc na skrzydłach poszumnie,
płoszą wkoło mnie widma, rozhasane tłumnie.

Targają je szponami, rozdzierają dziobem,
kracząc drętwo, jak duchy szatańskie nad grobem.

Rozpraszam błyskiem oczu tych orłów zastępy.
Lecą, unosząc w dziobach widm rozdartych strzępy.

Pragnę ciszy i pustki tak wielkiej i głuchej,
jaką mają w dzień zwycięstw niezwalczone duchy.

W ciszy i pustce, śledząc mgły bielsze i rzadsze,
czekam godziny mojej i na wieczność patrzę.

. . . .

Z olbrzymiego chmur gmachu zejdź do mnie Je-
[howa!
Otom dziś na oblicze Twe patrzeć gotowa.

Otom gotowa mówić z Tobą długo... długo...
pod skrzyżowanych gromów purpurową smugą.

Mów mi, ile gwiazd jasnych w pył rozbiłeś nocą?
Ile zgasiłeś białych słońc oddechu mocą?

Mów mi, ile z powierzchni ziemi starłeś grodów?
Ile potężną stopą zdeptałeś narodów?

Mów mi, ile serc ludzkich pod Twą dłonią pękło?
Ile warg wzniosło skargę ku Tobie zalękłą?

I ilu łzami Twoje napełniłeś kruże?
Ile dusz obłąkąnych strąciłeś w kałuże?

I jaką dałeś z nieba odpowiedź ludowi,
gdy go wiedli do Twoich stóp prorocy nowi?

Kiedy się tarzał w prochu i łzami krwawemi
błagał, abyś królestwo Twe objął na ziemi?

Mów mi — powtarzaj setki i tysiące razy —
Oto Cię słucham zimna, jak te białe głazy?
. . . .
. . . .

Jehowo! czemu milczysz?—Który dreszczem grozy
przenikasz wątłe ciało rozpłakanej brzozy —

Który pąki róż ścinasz ogniem i żelazem —
wobec drętwoty głazu, czyś jest tylko głazem?

Milczysz. Źrenice Twoje, szerzone ogromnie
błyskawicami, patrzą... O Panie! mów do mnie!

Czemkolwiek będzie głos Twój — straszliwym
[wyrokiem...
zgrzytem burzy wezbranej..., czy pieśni urokiem—

Klątwą, niszczącą grody... potępieniem srogiem...
czy błogosławieństw cichych uniesieniem błogiem—

Czemkolwiek będzie głos Twój—uwielbię go ciszą!
Uwielbię go, jak morza, co Twój rytm kołyszą:

Uwielbię go, jak cicha noc, płynąca w srebrze,
lecz nie milcz dłużej, Panie! u nóg Twoich żebrzę.

Nie gniew Twój mię powalił; nie klątwa i gromy,
ale milczenie Twoje i wzrok nieruchomy.

Iż jestem znowu kłosem, powiązanym w snopy;
i źdźbłem trawy rzuconem pod Twe mocne stopy.

I piórem skrzydeł ściętych, co się w prochu tarza,
jak czasu, którym wiodła u twego ołtarza.

Kiedym na piersiach wątłe krzyżowała dłonie,
a Tyś mi słów Twych miodne kładł na ustach wonie.

Gdym oblewała łzami nóg Twoich kobierce —
jak czasu tego czekam, rozkruszywszy serce.

U nóg Twych czekam w ciszy ogromnej, Jehowo,
iżby mi głos Twój dzwonem zahuczał nad głową!

Iżby się otworzyły Twoje usta, Panie,
któryś z chmur ciemnych zstąpił na moje wez-
[wanie.

Czekam z targanym burzą i wichrami włosem,
iżbyś mię zabił dłonią, lub obudził głosem!
. . . .
. . . .

Jehowo! o wszechmocny słońc i gromów Królu!
słyszę głos rzucon z piersi Twej... długi jęk bólu.

PROROK.

W kraju, którym władły bóstwa mściwe, krwi
[łakome;
gdzie w świątyniach, trwogą zdjęte i win nie-
[świadome,
ciała ofiar ludzkich drgały pod oprawców nożem;
gdzie bluzgały krwią ołtarze; gdzie wezbranem
[morzem
czarna fala nienawiści biegła, niszcząc plony;
gdzie na rozkaz bóstw kamiennych, szałem unie-
[siony,
brat bez żalu nóż morderczy ostrzył przeciw bratu,
gdzie w ramiona niewolnicze wrastały powrozy—
w kraju takim, nad ciemnymi upiorami grozy
powstał prorok—jeden z tych, co miłość głoszą
[światu.

I przez ciche pól obszary, w jasny niebios skłon
szedł głos jego uniesiony—jak weselny dzwon:

— „Otwórzcie serca wasze! Niechaj płyną
ku sobie myśli wasze i pragnienia!
Nie będzie grzechem uśmiech, ani radość winą,
gdy źrenic waszych słońcem zabłysną spojrzenia.

Otwórzcie serca wasze! Z niebios jasnych
rozkosz i miłość bujnym płyną zdrojem.

Nie zamykajcie waszych progów ciasnych
przed światłem zorzy i przed gwiazd spokojem!

I nie szukajcie Boga w chłodnych murach
świątyń, gdzie czyha kara i zniszczenie;
gdzie zmora trwogi, jak wąż pełza skrycie,
a duszę ścina echo łkań i skarg.

Lecz Go szukajcie w otwartych lazurach
przestrzeni wolnej! w gorących purpurach
słońca, co daje wszechistnieniu życie!
i w słoneczniejszym, niśli słońc promienie,
uśmiechu ludzkich warg.

I nie rzucajcie na ołtarze białe
Bogu ciał żywych, ohydnie rzezanych!
I nie rzucajcie Mu na cześć i chwałę
jęków rozpaczy, ni skarg obłąkanych!

Ale Mu nieście głos jasny, co dysze
pragnieniem szczęścia i szczęśliwych tworzy!
słodycz słów waszych; pogodę i ciszę,
co wam na czołach wieńce róż położy;
serca, dźwignięte z otchłani tęsknoty;
rozradowanych dusz promienne loty.

Bowiem rozkoszą Bóg jest i wezbraniem
wszelkiej słodyczy i wszelkiego daru!
Niechaj się piersi wasze miłowaniem
napełnią! Niechaj strzeli płomień żaru,

co serca wasze ogniwem łańcucha
nierozdzielnego sprzęgnie w uścisk bratni.
Niechaj uderzy ku niebu pieśń błoga,
w którą się wszechświat zachwycony wsłucha,
jak w cud zwycięski ludzkiego istnienia,
jak w najsilniejszy, najwyższy, ostatni
ton Objawienia!

I taką pieśnią wy uczcijcie Boga!“

Mówił—a przez łan zielony, w jasny niebios skłon
wzbił się jego głos zwycięski, jak weselny dzwon!
Zrywał ciężkich chmur opony — budził dusze
[skrzepłe;
na ściągnięte bólem czoła kładł promienie ciepłe.
I jak schnące łona kwiatów do słonecznych ros —
tak się serca otwierały na ten jego głos!

I runęły bogi stare, kamienne i zimne —
na ołtarzach, krwią splamionych, zgasły ognie
[dymne.
I zamilkły jęki ofiar; spadły z rąk powrozy;
legły w zgliszczach domy kary i świątynie grozy.
Jak dzień światłem—tak wezbrały serca miłowa-
[niem.
I pod siłą słów proroka, pod jego wezwaniem
kraj, tak długo w nienawistnej udręczony matni,
był jak jedna pieśń pokoju—był jak uścisk bratni.
. . . .
A gdy odchodził prorok ukochany,
by w innych ziemiach kamienne bałwany

kruszyć i dalej ponieść szczęścia zorzę,
lud mu się do stóp słaniał błagający
i wołał: — „Zostań! Prowadź dzieło boże!
Ty, coś rozpędził bólu mrok dławiący,
pozostań z nami!“
On rzekł im: — „Spojrzyjcie
wkoło: Jak wielki świat oblany słońcem,
jak wielką ziemia, w której tętni życie —
tak wielka praca czeka mię przed końcem
żywota mego. Ile gwiazd wytryska
z nieba, gdy światu blasków słońca braknie,
tyle tysięcy piersi ból uciska,
tyle tysięcy dusz miłości łaknie!

Odchodzę od was, ale w waszych sercach
zostawiam dar mój — niech was w żalu cieszy.“

I odszedł prorok po miękkich kobiercach
róż, rozesłanych dłońmi wdzięcznej rzeszy.
Odszedł z słodyczą w sercu i pokojem,
błogosławiących słów oblany zdrojem.
. . . .
A gdy po wielu... wielu długich latach
wracał stęskniony w swem życiu tułaczem,
zaszli mu drogę trzej uczniowie w szatach
żałobnych. Do nóg mu upadłszy z płaczem,
rzekli mu: — „Mistrzu! nie powracaj więcej
do twej ojczyzny! Kraj ten we krwi tonie.
Zgrzytają jęki i skargi tysięcy
ust niewolniczych... Rzeź ofiary chłonie!

I zadrżał prorok: — „Czyżby stare bogi,
okrutne śmierci i zniszczenia sępy
zmartwychpowstały?! Waszych słów złowrogi
dźwięk moją duszę rozdziera na strzępy...
Otom, z tęsknotą, po znojach dręczących
szedł witać łzami me ojczyste strony
i umrzeć przy was. Otom utrudzony
chciał spocząć w cieniu waszych brzóz płaczących
i w proch rozpadłe ciało oddać ziemi,
co mię żywiła kłosami złotemi,
gdy dzieckiem byłem. Przebóg! więc niezdjęte
brzemię niedoli? Czyliż moje imię
już zapomniane przez was i przeklęte
wraz z słowem mojem?“
— „Mistrzu — twoje imię
lud, na kolanach wielbiąc, błogosławi!
Szepce je starzec i powtarza dziecko.
Biada każdemu, ktoby ujął sławy
imieniu twemu! Jako grom, zdradziecko
w pierś jego godzi krwawy nóż mściciela,
co twą naukę w czyn drapieżny wciela.
I nie powstały z martwych bogi stare.
Lecz na ołtarzach, nową tworząc wiarę,
powstały bogi nowe — równie mściwe!
równie kamienne i równie krwi chciwe!
Równie ponury dźwięk ich chwałę głosi;
równie okrutną dzierżą straż!
A każdy z nich ma twoją twarz...!
A każdy z nich twe imię nosi!

Tyś bogiem stał się wśród rzezi i trwogi!
I kona w mękach, kto ofiar nie składa
pod twych posągów marmurowych nogi.
A słowo twoje biczem grozy włada!
A miłość twoja rzuca śmierci siew!
W imię miłości łańcuch dłonie ściska —
W imię miłości łez wzbierają morza
i hydra bólu dręczy senne łoża —
W imię miłości nóż na piersiach błyska —
W imię miłości bucha krew!

I taki zbierzesz plon po długim trudzie.
W krainie mroków — w nieprzebranej fali
łez i krwi powstał nowy bóg — lecz ludzie
ci sami pozostali!"

I słuchał prorok, chyląc głowy brzemię —
A wysłuchawszy wszystko — padł na ziemię,
rażony bólu śmiertelnego ciosem.
I umierając, rzekł wezbranym głosem
do uczniów swoich: — „Nie płaczcie nademną!
Ale powiedźcie tym, co przyjdą po mnie,
by dzieło swoje ciągnęli niezłomnie,
aż świt, błysnąwszy, noc rozedrze ciemną
i dzień zawładnie sercami wszystkiemi —
aż miłość stanie na ziemi!"

BIALI RYCERZE.

O cicha nocy — powiedz,
dokąd ja idę...?

Łza moich oczu zastygła perłą
na drzew listowiu
tak ślicznie....
O nocy! daj mi królewskie berło!
i daj mi szatę ze złotogłowiu!
białą chlamidę
i runo owiec...

Kroki stóp moich dzwonią rytmicznie,
dzwonią o bruk...
Śpią dziś niebiosa — śpią letargicznie
i zasnął Bóg.

Pójdę na cichy, kościelny próg.
Wtulę się cała w kościelne mury,
jak się mchy tulą w kamienny żleb.
Może obudzę Boga wołaniem.
Może u progu kamień ponury
moich gorących ust całowaniem
zamienię w chleb...

Usta i zęby zacisnę mocno,
aby nie wyszedł z piersi ten ból,
co targa trzewia —
aby nie zwalił godziną nocną,

nie zwalił jękiem
owego domu, gdzie Pan i Król
wszechświata pali złote zarzewia
wielkiej miłości i harf się dźwiękiem
upaja.

. . . .

Słyszę, że anioł struny nastraja...
O pieśni, graj...!
Marzy się duszy wiosenny gaj...
narcyzy wonią upajające...
i wielkie słońce!

. . . .

. . . .

Słyszę rytmiczne stąpanie koni —
słyszę chorągwi rozpiętych szum.
Idą — ach! idą po kwietnej błoni —
olbrzymi... długi... tysięczny tłum!
Idą — ach! idą rycerze moi,
na białych koniach, w stalowej zbroi.
Idą przy dźwiękach trąb uroczystych,
w szatach powiewnych, jak błękit czystych.
A nad głowami ich zorza wschodnia
rozpina skrzydła różanych mgławic.
A każdy hełm ich — biała pochodnia!
a każdy miecz ich — ogień błyskawic!

A każdy koń ich, jak fala morza,
której nic w biegu — nic nie powstrzyma!
Oto im drogę otwiera zorza —

oto im wicher proporce wzdyma!
Idą, śpiewając — jak idzie słońce
po nocy czarnej — jak idą w wieczność
dzwony, miłości hymnem bijące —
jak idzie życiem boska konieczność!

Witajcie — biali rycerze moi!
Niech wam błoń jasna pod stopy słania
swe wonne plusze —
Ach! w ten radosny hymn powitania
rzucam mą duszę!

. . . .

Idą w pożarach słonecznej zbroi,
w pieśniach rozkoszy — w hejnału dzwonach.
Idą na gór tych skalistych łonach
odbić królestwo moje!
Zwyciężą!
Oto się wszystkie ramiona prężą
pragnieniem czynu!
Na górze bliskiej,
w topolim wieńcu zamkowy dworzec,
jak gwiazda rzuca promienne błyski.
Ach! dzisiaj jeszcze na smukłej baszcie,
co się w powodziach światła uśmiecha,
wionie błękitno biały proporzec —
moich rycerzy proporzec szumny.

O zorze! nimbem waszym obdarzcie
ich piękne czoła! Niech wszystkie echa

uniosą z sobą ich okrzyk dumny —
niechaj się struny wichrowe prężą
głosem: Zwyciężą dzisiaj — Zwyciężą!!

Bije skrzydłami wolnego ptaka
chorągiew pełna królewskich znamion —
A huczą trąby — a bębny warczą!

Wódz, jasny, piękny, ze srebrną tarczą,
z srebrnemi skrzydły u mocnych ramion,
spiął okrytego pianą rumaka
i woła do mnie, bym harfę moją
ujęła w ręce.
Drżę nieprzytomnie,
jego słoneczną olśniona zbroją
i tknięta jego wołaniem wieszczem,
co jako dzwonu głos leci do mnie.
Drżą palce moje — drżą w obłąkaniu,
ale ten dreszcz ich na strunach harfy,
podobny wichrów nadmorskich graniu,
hymnem wezbranym bije o szarfy
niebieskich sklepień.
O uniesienia
wolnego ptaka, co gna w przestworze!
O uniesienia bogów, co zorze
krzeszą z rozdartej mgławicy cienia!
. . . .

Lecą rycerzy moich zastępy!
Lecą mgłą śnieżną — wichurą halną —
mórz obudzeniem — żaru pochodnią!

Niezwyciężeni lecą na skalną
wyżynę ową, gdzie ludzie sępy,
królestwo moje wydarłszy zbrodnią,
od wieków długich kują obroże;
dzwonią w łańcuchy i ostrzą noże.

Lecą — ach, lecą rycerze moi!
A ledwie w kruszec twardych podwoi
swym uniesionym orężem brzękli,
ledwie podnieśli wezbrane głosy,
ledwie rozwiali szumny proporzec,
pierzchli wrogowie, pierzchli zalękli
i opuścili zamkowy dworzec —
i opuścili złowieszcze stosy
nożów i kajdan.
I pierzchli wszyscy,
w trwodze śmiertelnej — szałowi bliscy!
Nieumocnieni bronią, ni strażą —
jako noc pierzcha przed słońca twarzą.
. . . .

Biją zwycięskim hejnałem dzwony!

Oto mię woła głos uniesiony –
rozkoszą woła na zamek biały.
Idę — a pieśni weselnych tony
huczą, jak srebrnych potoków szały.
Idę — a do stóp moich rzucony
legł stos łańcuchów, kajdan, obroży;
i depcę po nich stopą zwycięską
w hejnałach dzwonu — w uśmiechach zorzy.

A kwiaty wonne lecą z wysoka
na moją głowę, na skroń męczeńską;
i łza, co z mego spłynęła oka,
wielka łza szczęścia, zastyga perłą
na rozszemranych kwiatów listowiu.
A w rękach moich królewskie berło —
a u bark szata ze złotogłowiu —
a na warkoczach palmowy wieniec.

I niesie dzwon mój wieści radosne,
że dzień ten długą poczyna wiosnę;
i że w granicach mojego grodu
nikt już nie zazna nędzy, ni głodu.

A gdy zamkowych sięgam podwoi,
w głos mię witają rycerze moi.
A wódz mój jasny — wódz oblubieniec
w sali, przybranej na świetne gody,
przy stole białym, gdzie wonne miody
paziowie w modrych szatach roznoszą,
wódz mój w rycerzy moich gromadzie
zbliża się do mnie i zwolna kładzie
na moich ustach, drżących rozkoszą,
swe boskie usta...

. . . .

Drgnęły ramiona...
Gdzie jestem? prawda — na szarym progu.
Miałam tu łzami modlić się Bogu;
i łzami kamień przemienić w chleby;

i tak się wtulić w tych murów łona,
jak się mchy tulą w kamienne żleby.
Gdzie płaszcz mój biały? Zdrętwiałam z chłodu.
Czuję na ustach sopelki lodu,
a w mózgu zimnych kropel ściekanie —
Czuję na ustach pocałowanie
śmierci... Rozumiem! umieram z głodu.

. . . .

Pan w szacie, szytej gronostajami,
stanął przedemną i białą ręką
rzucił mi biały chleb — dar jałmużny
i dar litości. Chleb, co się plami
pyłem mej szarej sukni podróżnej
i moich gorzkich... gorzkich łez męką.

W twarz mu spojrzałam — w tę twarz litośną
i pełną łaski. Czekał spokojny,
iżbym mu do stóp z podzięką głośną
padła i rękę za dar tak hojny
ucałowała.
A u nóg pana
pies kły swe białe wyszczerzał do mnie
i chciał mię kąsać. A chleb kolana
me zimne palił... A wicher harczał
wokoły głowy mej nieprzytomnie
jakąś pieśń dziką...
. . . .

Psu, który warczał,
rzuciłam chleb mój. Panu nie padłam
do stóp z podzięką za dar jałmużny;
ale, związawszy tobół podróżny,
pod wpół omdlałą skroń go pokładłam
i kołysana szumami fali
błękitnej... jasnej... jęłam śnić dalej.

PRZEZ ŻYCIE

Hej łodzi, leć do mnie! leć do mnie po fali!
twe wiosła mi podaj do rąk.
Popłyniem przez tęcze promiennych opali
wśród wiklin, ogrodów i łąk.

Popłyniem — a chyżo! na siny bieg rzeki,
po falach skłębionych i nurtach.
Niech wicher osuszy te łzy mej powieki;
tę rosę na ciemnych twych burtach.

Nieś chyżo — a w szarym odmęcie potoków,
wyławiaj, jak perły, odbicia obłoków;
i iskry szkarłatne, jak krzewy korali;
i płomień... Nieś chyżo! nieś chyżo po fali!

Nie będę się wichru pytała po drodze
o jakie rozbije mię skały;
lecz twarzą w twarz patrząc słonecznej pożodze,
jak żagle rozwinę gorącej krwi szały.

I wiosłem bić będę, jak skrzydeł trzepotem,
nurt wody głęboki... głęboki...
Nie będę się wichru pytała, czy potem
o skalne rozbije mię stoki.
. . . .

Unoszą mię fale — O bądź pozdrowiona
błękitna... błękitna przeszłości!

Zdejm płaszcz ośnieżony i otwórz ramiona —
Zaśpiewaj mi pełna miłości.

Rozkołysz nademną — a hucznie — a głośno
najsilniej bijące twe dzwony!
Niech zew twój kieruje fanfarą donośną
łódź moją na brzeg opuszczony!
. . . .

Przez dzikie zarośla, przez bujnie rosnące
wikliny przekrada się łódź.
U brzegu witają mię gaje szemrzące...
O łodzi ma ku nim się zwróć!

Kołyszą się wolno na niebie pogodnem
listowia drzew smukłych i sztywnych.
I marzą... i gwarzą... szeptaniem łagodnem
o rzeczach tak dziwnych... tak dziwnych...

Powoli, a miękko, ustami drżącemi
po liściach suwają się liście.
I marzą... i gwarzą... daleko od ziemi
unosząc swój hymn uroczyście.

A niema w tym hymnie ni słów, ni wyrażeń,
ni uczuć, ni myśli świadomych.
Nie kreśli go nuta, ni kształt wyobrażeń,
ni senny bieg widzeń ruchomych.

Lecz cicho i lekko... jak błędna mgławica,
niwecząc za sobą swe ślady,

ulata szeptana tych drzew tajemnica
i toczą się szumów kaskady.

O jakże jest piękną ta pieśń bez wyrazów!
Jak piękne te sny bez majaczeń!
te barwy i światła bez żadnych obrazów,
te skrzydła bez żadnych przeznaczeń.

O jakże jest piękny ten szum! Niech upaja
słodyczą, jak wonie liljowe.
Niech struny serdeczne rozkoszą nastraja;
niech białe sny rzuca na głowę.

Sny pierwsze... dziecięce... Zamykam powieki,
a gaje szumiące objęły mię wkoło.
I marzą... i gwarzą... A we mgle dalekiej
na niebie widmowe rysuje się czoło.

Sny pierwsze... dziecięce...
Hej łodzi szalona —
uciekaj przez dzikie zarośla i błota!
Rzuciła się na mnie, otwarłszy ramiona,
straszliwa... straszliwa tęsknota!

Nie wrócą już nigdy — nie wrócą te szumy!
nie wróci tych drzew kołysanie!
Nie wrócą te chwile dziecięcej zadumy —
te czyste błękitów otchłanie...

Nie wrócą już nigdy... Uciekaj po fali
posłuszniej — i chyżej — i prościej!

Przy rytmie mych wioseł bijących leć dalej
za głosem błękitnej przeszłości!

. . . .
. . . .

Ach — cicho... Stanęły me wiosła bijące;
stanęłaś o łodzi posłuszna;
i cisza objęła te fale płynące,
jak msza na ołtarzach zaduszna.

Czy słyszysz? od brzegu po wodnej topieli
poważny, uroczy posuwa się dzwon.
Kołyszą go dłońmi jasnemi anieli,
a zorze niebieski podają mu ton.

Kołyszą go duchy w płomiennej odzieży,
kołyszą miłością i szałem.
A dzwon z uniesionej opuszcza się wieży —
w przestworzu rozlewa się całem.

Niech modlą się fale, objęte płomieniem —
niech modlą się wiosła wstrzymane.
Niech modli się przestrzeń uroczem milczeniem —
niech modlą się serca wezbrane.

Niech czoła uderzą w przesłodkiej pokorze
o ziemię, co łzami zwilżona.
Niech w piersiach gorących nóż bólu zaorze
doczesnych pożądań nasiona.

Niech w duszy, skupionej jak nawa kościelna,
zamieszka li białość korony liljowej;
i niebios dalekich tęsknota śmiertelna —
i cisza — i ból Chrystusowy.

Dzwon płynie wołaniem poważnem i czystem
i pełną jest dzwonu mrocz wszelkich jaskinia.
A w wieńcu drzew smukłych, na wzgórzu ska-
[listem
gotycka stanęła świątynia.

Jej wieże wysokie majaczą w błękitach —
jej bieli cień żaden nie plami.
Jej mocne filary dźwigają na szczytach
sklepienia, zasiane gwiazdami.

Od chóru, płynący na białe ołtarze,
szum piękny organu jej ściany rozpiera.
Twarzami aniołów błyskają witraże,
a Chrystus jej bramy otwiera.

O nie drżyj mi łodzi! Niech toń przezroczysta
nie płoszy mi dzwonu tej wieży.
Niech płynie przez nawę ta pieśń uroczysta,
ten głos: Błogosławion, kto wierzy!

Niech zejdzie w mą duszę, jak wówczas... przed
[laty
ta rozkosz nad wszelkie rozkosze!
Niech miłość w męczeńskie oblecze mię szaty —
niech biorą anieli na skrzydeł swych nosze.

Jak wówczas...
Hej — łodzi! uciekaj spłoszona!
Żal wielki wybuchnął z otchłani przezroczej —
i rzucił się na mnie — i przywarł do łona —
i łzami zalewa mi oczy.

Nie wrócą te dzwony — te światła ołtarzy —
te białych filarów modlące się szczyty —
te lampy, płonące w urokach witraży —
te długie... męczeńskie pod krzyżem zachwyty.

Nie wrócą już nigdy... Uciekaj po fali
posłuszniej... i chyżej... i prościej...
Przy rytmie mych wioseł bijących leć dalej
za głosem błękitnej przeszłości.

. . . .
. . . .

Gorącym potokiem zalała twarz moją
woń piękna i mocna, jak senne haszysze.
U brzegu bzy cudne rosami się poją
i tchnieniem poranku liljowy kwiat dysze.

Przedziwne ogrody, wezbrane rozkoszą,
rozkwitły pod niebem pochmurnem i chłodnem.
Szpalery jaśminu białego unoszą
przesłodkie swe kwiaty z uśmiechem łagodnym...

Narcyzy w zieleni pół sennie... pół smutnie
świtają, jak białych gwiazd chóry.

A krzewy różane zalały rozrzutnie
klomb cały powodzią purpury.

U stóp ich stokroci się wiją czeredy;
kosaciec swe łono rozchyla prężeniem;
a w puchu traw bujnych zielone rezedy
kołyszą się złotem marzeniem.

Przedziwne ogrody rozkwitły, jak zorza,
w purpurze gorącej i w złocie.
Drżą kwiaty olbrzymie u bujnych traw łoża —
drżą w szczęściu... w nadziei... w tęsknocie.

I oto w te światy rozkoszy i czarów
wciskają się ludzie — a twarde ich dłonie
rwą róże, a usta ich z świeżych puharów
liljowych spijają miód złoty i wonie.

A ciężkie ich stopy druzgocą deptaniem
zielone rezedy, tonące w marzeniu;
i gwiazdy narcyzów i, wonnem posłaniem
rosnące, konwalje w jaśminów półcieniu.

Na klomby, kwiatami zasłane rozrzutnie,
przechodzień pył błotny ze stóp swych otrząsa.
Hej łodzi, uciekaj! straszliwie, okrutnie
zalała mię gorycz i serce me kąsa!

Nie spłoną już więcej w gorącej purpurze
te kwiaty królewskie, te maki i róże.
Nie rzucą się więcej na przestrzeń i ciszę
te wonie tak piękne, jak senne haszysze.

Hej, łodzi — uciekaj! uciekaj po fali,
posłuszniej — i chyżej — i prościej!
Przy rytmie mych wioseł bijących leć dalej
za głosem błękitnej przeszłości.
. . . .

Czy słyszysz? Pod słońca źrenicą pobladłą,
po chmurnej wód tafli pieśń płynie urocza.
Wygładza się tafla, jak srebrne zwierciadło.
Z za chmur błękitnieją niebieskie przezrocza.

Przecudna, przesłodka ta pieśń, jak uroki
jabłonek i wisien w majowe poranki;
a siłą wezbrana, jak górskie potoki;
a rzewna, jak ton kołysanki.

U brzegu dom biały, oplecion zielenią,
szybami swych okien słoneczny blask pije;
i czuwa nad wielką wód modrych przestrzenią
i dymy błękitne nad dachem swym wije.

A w jego pokojach, stojące na straży
snów dobrych, wahają zegary ze stali.
W dziedzińcu szerokim, wśród drzew wirydarzy,
ból z czołem pogodnem męczeński stos pali.

I bije żar stosu, o próg uniesiony,
za którym bóg szczęścia z orszakiem swym gości.
Na progu tym anioł o twarzy skupionej,
przy harfie klęczący, gra pieśni miłości.

O błogosławione te pieśni łagodne,
tak słodkie, jak w sadach majowy poranek!
O błogosławione te noce pogodne,
płynące jak mary wśród słów kołysanek.

O błogosławiony ten dom i ta cisza
na tle męczeńskiego płomienia —
i błogosławiona u progu ta nisza
skąd anioł rozlewa swe pienia!

O błogosławiony ten dom!
Łodzi moja
płyń dalej. Odjęta kotwica.
Zostanie za nami ta cicha ostoja —
przed nami tych mórz tajemnica.

Skończony bieg rzeki — i wichru tchem parte,
rzucają się fale w otchłanną pierś morza.
Dlaczego się cofasz? i czoło uparte
odwracasz od nowych wód łoża?

Choć wiosłem uderzam posłuszny grzbiet fali,
ty krążysz — i wahasz — i cofasz się drżąca;
i dreszczem zaklinasz, by z cichym snem słońca
odpocząć u progu, gdzie płomień się pali.

O łodzi! przeraża cię dziki szum morza
i ogrom żywiołu, co bierze nas z sobą?
Przeraża cię groza tych chmur, co żałobą
okryły milczące przestworza?

O łodzi! choć przeciw nam idzie noc czarna
i pomruk burz groźnych i morskich fal taniec,
odjęta kotwica — popłyniem — więc, karna,
rzuć biały twój brzeg i twój szaniec.

Popłyniem na morze, choć słońce zagasło,
z wichrami i burzą pospołu!
Bom drogę począwszy, rzuciła to hasło:
— Iść naprzód z uporem żywiołu!

Spowinie nas w długie, upiorne swe płaszcze
noc ciemna... posępna... wichrowa...
Spiętrzonych bałwanów pochwycą nas paszcze
i kąsać nas będą, jak klątwa wiekowa.

I pianą wściekłości bryzgając w me oczy,
ogarną... oślepią... ogłuszą!..
O nie mów mi, zanim do stóp nam się stoczy
ich grzbiet, że pochłonąć nas muszą.

Nie wskażą nam drogi ni gwiazdy... ni słońca...
ni miesiąc, wychylon z srebrzystych obłoków.
Ni morska latarnia, z wybrzeża patrząca,
nie każe śmiertelnych omijać nam stoków.

Więc błądzić będziemy z wichrami pospołu
po falach... i falach spienionych;
aż, parte błękitnym ogromem żywiołu,
dopłyniem do brzegów marzonych.

I tam, na skaliste wspinając się rampy,
rozpalę me światło zwycięskie —
i czekać tam będę przy blasku mej lampy
na łodzie samotne... męczeńskie.

I czekać tam będę, hymnami rozkoszy
witając łódź każdą, jak bratnią —
aż śmierć utajona z mej piersi wypłoszy
z ostatnim tchem pieśń mą ostatnią!

SREBRNE PUCHY.

Widzę przed sobą...

Widzę przed sobą wielkie... wielkie... sine morza,
letargi fal omdlałych niosące w przestworza.

Widzę przed sobą większe od tych mórz niebiosy,
któremi w dal żegluje miesiąc srebrnowłosy.

Widzę przed sobą większą od tych niebios ciszę,
która światami światów otchłanie kołysze.

Widzę w jej wielkich dłoniach, jako harfy struny,
rozpięte łukiem srebrne meteorów łuny.

Widzę przez rozwleczone jej ramieniem kiry
bezprzyczynowe globów planetarnych wiry.

Widzę, zepchnięte w nocy czarność jej stopami,
światy, idące naprzód hyperbol linjami.

Widzę nad wszystko większe, straszliwsze pytanie:
dokąd idą? gdzie lecą? i w jakie otchłanie
wejdą po wiekach... wiekach... po wieków milionie...
pytanie, które cisza w pierś olbrzymią chłonie.

Na posłaniu mojem leżę...

Na posłaniu mojem leżę
nocą ciemną
w drętwym śnie —
Sen mój pastwi się nademną,
jako zwierzę
czarne... złe...

A w otwarte okno moje
płynie czar...
Śpiewność ciszy... woni zdroje...
tajemniczy duchów gwar.

Na posłaniu mojem prężę
duszę głodną
pośród róż...
Sny ślizgają się, jak węże,
po mej piersi piersią chłodną,
po ramionach wzdłuż.
. . . .
. . . .

I oto z mgieł ciszy przez okno otwarte
huk nagły się rzuca, jak widmo rozżarte.
Huk nagły pociągu, co pędzi po szynach,
tak blisko... tak blisko... Majaki snu płoszy
i rośnie... i zgrzyta... i ginie w głębinach
tej nocy pogodnej i czarnej.

I wtedy śnię dziko sen krótkiej rozkoszy.
Na piersi me pada ów potwór stalowy
o wielkich, ognistych źrenicach!
Na piersi me pada w olbrzymiej męczarni.
Syczeniem i zgrzytem naokół mej głowy
owija się wściekle i huczy w tętnicach —
ten potwór o wielkich, ognistych źrenicach.

I koła pędzące chwytają me ciało
na taniec... na taniec straszliwy!
Chwytają me ciało i niosą jak sępy.
Chwytają i szarpią... ach krwawo! pierś całą
rozdarły na strzępy..! na strzępy..! na strzępy..!

A w mózgu wir wspomnień rozpętał się mściwy:
Ach tak! tak pierś moją, przestrachem dyszącą,
ból życia wściekłymi rozdzierał zębami —
tak kąsał bezbronną i drżącą!

Aż oto ból zdrętwiał i w ogniu błyskawic
pęd nowy porywa... ha — ha! tak chwilami
na ciało, uśpione wśród żaru i mgławic;
szedł dreszcz konwulsyjnych upojeń!
Tak w mąk paroksyzmie szła radość weselna —
tak, piersi me prężąc wśród sennych urojeń,
rzucała mię rozkosz śmiertelna!

I dusza szczęśliwa
ze strzępów skrwawionych
wydziera się... strząsa... ulatnia...

Wśród iskier i kłębów... wśród kół rozpędzonych
nademną się z orgią stu burz dokonywa
ostatni ból życia i rozkosz ostatnia!

. . . .

A potem cisza — taka wielka!
Nie przyjdzie nic... nic się nie stanie.
Zniknęła mała krwi kropelka
w bezbrzeżnym oceanie!

A potem cisza — taka wieczna!
Sen nieprzerwany... sen po śnie.
W niebiosach czarnych droga mleczna
rozlewa srebrną... lotną mgłę.

A potem cisza — taka święta!
Cisza popiołów... cisza cisz.
Nie zbudzi żaden dzwonu śpiż —
nie ujmą żadne pęta.
Sen-mocarz król;
sen-bóg i wieszcz.
Ostatni szczęścia dreszcz...
Ostatni ból...

Tęsknota moja...

Tęsknota moja jest jak wicher polny,
co idzie wyjąc w głuchą noc...
— Prężony szałem orkan wolny
w nieubłaganą rośnie moc!
I lecąc... rwie gałęzie drzew!
i świszcząc... gra obłędny śpiew —
i bijąc u zamkniętych wrót
zawodzi łkaniem ból... i głód...

Tęsknota moja jest jak wicher polny,
co idzie wyjąc... w głuchą noc.
. . . .

Tęsknota moja jest jak żywioł dziki,
co w pierś uderza orgią fal...
— Spienionych wód upiorne ryki
duchy zniszczenia niosą w dal!
Łódź wątła bije w skalny zrąb —
Otwiera się bezdenna głąb!
Daremna walka — próżny trud —
Obłąkał duszę ból... i głód...

Tęsknota moja jest jak żywioł dziki,
co w pierś uderza orgią fal.
. . . .

Tęsknota moja jest jak mara głodna,
wessana w serce siłą warg.

— Zalewa czoło fala chłodna...
mdleją na ustach słowa skarg...
I w oczach przez stężałe łzy
snują się długie... szare mgły...
Omdlałą pierś wyczerpał głód —
omdlewa dusza... drętwy chłód.,.

Tęsknota moja jest jak mara głodna,
wessana w serce siłą warg.

Pragnę...

Pragnę... O kropli chłodnego napoju
na rozognione wargi me... na struny
gardła, płonące w mąk ofiarnych boju!
Cokolwiek dacie — żółć... myrrę... piołuny...
pić będę! Pragnę...
Chryste! takież męki
paliły pierś Twą zbroczoną u szczytu
czarnej Golgoty, gdyś ów jęk nad jęki
rzucił w otchłanie ponurego zgrzytu?

Kocham nie ciebie...

Kocham... nie ciebie! W blaskach twoich oczu,
w zwycięskich łukach twoich brwi, w głębokiem
rozpłomienionych twych źrenic przezroczu,
w twych rysach dumnych, w twem czole wysokiem,
w twych włosach, których jedwabiste zwoje
falują śpiewnie nad twem okiem śmiałem —
kocham serdecznym, niewstrzymanym szałem
mojego syna — kocham dziecię moje!

Gdy się otworzy...

Gdy się otworzy tobie ludzka dusza,
wejdź cicho — niby do świętej kaplicy.
Niech czar skupienia kroki twe przygłusza,
a głos w lękliwej spływa tajemnicy.
Bowiem tu wszystko modli się i skarży.
Grzech każdy szeptem pokutniczym kona.
Miłość, jak lampka czerwona się jarzy,
a ból — jak hostja w ołtarzu złożona.

O duszo moja...

O duszo moja, którą czasu walki,
okułam w łańcuch nieskruszonej mocy,
aby nad męką twoją, jak westalki
nad ogniem świętym, czuwać noc po nocy —
o duszo — przebacz!
Dziś rozerwać zdołam
okowy twoje, krwią czerwoną lśniące —
klęcząc twe rany całuję i wołam:
— Powstań! idź w Słońce!

SPIS RZECZY.

Tejże autorki:

Wizje (Mieczysław Awdancz) Poemat dramatyczny — Kraków 1906 r.

Korowód — Warszawa 1910 r.

W druku:

Mojżesz — dramat biblijny w pięciu aktach.